

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: *Leon Kozłowski*: Święty Gwalbert i... Sowiety. — *Franciszek Bossowski*: O rewizji programów. — *Prof. Adam Krzyżanowski*: Waluta (dokończenie). — *Z. Łada*: W sprawie drożyzny. — *Dr. Tadeusz Sokołowski*: Polskie T-stwo badań psychicznych. — *Prof. Roman Dyboski*: Pańszczyzna komunistyczna. — *Al. Babiański*: Bohdan Kutylowski (wspomnienie pośmiertne). — *Dr. G. I. Dinowicz*: Dramat jugosłowiański. — *Antoni Lange*: Z poetów armeńskich. — *Prof. Józef Strzygowski*: Sztuka plastyczna wschodu. — Kronika literacka. — Literatura i sztuka u obcych. — *G. K. Chesterton*: Savonarola.

ŚWIĘTY GWALBERT I... SOWIETY.

Lech. Stójcie poganie — przynoszę wam życie!
Święty Gwalbert. Stójcie poganie — przynoszę
[wam wiarę!

(Lilla Weneda, akt V, scena VIII).

Genua miała przynieść Rosji Sowieckiej nie tylko złoto, to jest w warunkach kapitalistycznych życie, ale i wiarę.

Cały świat obiegiły pogłoski, że w związku z konferencją, której pracom błogosławieństwo przysłała Stolica Apostolska, zostały nawiązane pomiędzy Rzymem a Sowiecami rokowania celem zawarcia układu, otwierającego nowe perspektywy dla akcji katolickiej w Rosji. Pogłoski te głęboko poruszyły cały ogół wierzący zarówno katolicki, jak prawosławny, zarówno w Europie, jak i w Rosji.

Ludzkość dawno przyzwyczaiła się do tego, że duch kompromisu panuje wszechwładnie w polityce, że dyplomaci nie chodzą ścieżkami prostymi, że „pieniądz nie pachnie” zwłaszcza, jeżeli wszelkie inne zapachy zagłusza potężny i fascynujący zapach... nafty. To też kiedy Lloyd George, sięgając po naftę rosyjską, podał rękę bolszewikom i, zawierając z nimi układ na kościach narodu rosyjskiego, upewnił świat cały, że Rosji daje życie, opinia świata ucywilizowanego, choć widziała obłudę, nie zbyt wiele oburzała się i prędko uspokoiła się. Lecz z dreszczem zdziwienia i niedowierzania przyjął świat chrześcijański puszczonej z Genui wiadomość, że Kościół, stojący na straży zasad wyższych i interesów wiecznych, w swej polityce wschodniej wstąpił na tę samą drogę umowy z Sowiecami, i że tą samą drogą, którą Lloyd George niesie życie narodowi rosyjskiemu, Watykan ma nieść jemu wiarę...

— „Życie i wiarę? — Boże patrzaj z nieba,
... patrzaj na tych ludzi!

I przyszli, kiedy mój lud cały skonał!
I przyszli, kiedy mój brat już nie żyje!
I przyszli, kiedy niebo oświecone
Łunami stosów, gdzie się palą trupy!
I tu mi dają życie!”

Temi słowy wybucha ginący na stosie Polelum—ostatni przedstawiciel wymordowanego ludu Wenedów, kiedy Lech, który mordował, i Św. Gwalbert, który, idąc za wojskiem zwycięzców chrzczył niedobitych, przychodzą oświadczyć mu, że przynoszą „życie” i „wiarę”.

Tych samych mniej więcej uczyć musieli doznać przedstawiciele mordowanego i wymierającego narodu rosyjskiego na wieść, że pod opieką tych, co mordują, przybyć mają misjonarze do Rosji i nieść jej wiarę.

Mereżkowski ogłosił list do Papieża, w którym oświadcza, że układ z bolszewikami uniemożliwia połączenie Kościołów. D. Filosofov pisze w gazecie „Za swobodu”, że „gest watykański” zdyskredytuje Watykan w oczach Rosji.

„Okrutnie prześladowana przez bolszewików cerkiew—pisze D. Filosofov—dowie się, że Cziczerin, Joffe, Sobelsohn, Nachamkes i C-ie „porozumieją się z Watykanem, że do Rosji przyjadą ojcowie jezuiti, że katolicyzm zajmie stanowisko uprzywilejowane”. Jakie wrażenie wywołają te wiadomości wśród prawosławnych wogóle, wśród duchowieństwa prawosławnego w szczególności? Publicysta rosyjski sądzi, że wrażenie będzie najgorsze: „Watykan swą nieostrożną, powiedźmy otwarcie: nieroztropną polityką włożył w ręce apologetów prawosławnych taki przeciw sobie argument, jakiego dotychczas nie posiadali. Argument jasny i zrozumiały dla każdego Rosjanina. Odtąd autorytet moralny Kościoła katolickiego jest ostatecznie zachwiany w sercu każdego prawosławnego”.

Gdyby prawda okazała się to, co donosiły korespondencje z Genui o konkordacie między Watykanem a Sowiecami, to rzeczywiście autorytet moralny Kościoła katolickiego byłby ostatecznie zachwiany w Rosji, a Cerkiew pra-

wosiawna górowałaby nad nim, tą siłą i aureolą, jakie daje męczeństwo.

Gdy Polelum odrzuciwszy ofiarowane mu z rąk zwycięzców życie i wiarę, ginie na stosie i niknie w blasku złotego płomienia, nad stosem ukazuje się postać Bogarodzicy... A ostatni Wened był przecież poganinem! Czyż nie jest oczywistym dla każdego chrześcijanina, dla najgorliwszego nawet katolika, nieprzejednanego wobec schyzmy, że zamęczony w czrezwyuczajce pasterz prawosławny miłszym i bliższym będzie sercu Przenajświętszej, niż uprzewilejowany dzięki układowi z bolszewikami ksiądz katolicki...

Okazuje się jednakże, że wieści te z Genui, które tak poruszyły ogół wierzących, nie były ściśle. Stolica Apostolska nie zawiera układu z. sowietami celem uzyskania przywilejów dla Kościoła Katolickiego. Memorandum, jakie wystosował w imieniu Ojca Św. monsinjor Pizardo do przedstawicieli mocarstw w Genui stwierdza co innego. Stolica apostolska występuje wogóle w obronie kościołów wszystkich wyznań w Rosji. Stolica apostolska domaga się, aby traktaty, które zawarte być mają w Genui, pomiędzy przedstawicielami Mocarstw a Rosją, zawierały w jakiegokolwiek formie, ale wyraźne, następujące trzy warunki: 1) w Rosji zapewniona ma być zupełna wolność sumienia dla wszystkich obywateli rosyjskich i państw obcych; 2) zagwarantowaną być ma wolność wykonywania praktyk religijnych i obrządków; 3) grunta i budynki, które były własnością związków religijnych, mają im być zwrócone i mają ją korzystać z ochrony.

Stolica Apostolska chce obrony zatem dla religii wogóle przed rządem, który zwalcza wszelką religję (bo „religia — to opjum dla narodu”), który poniewiera uczucia religijne, rabuje świątynie, prześladuje duchowieństwo, a dzieci w szkołach zmusza uczyć bluźnierstw. Więc nie o konkordat Rzymu z Sowietami chodzi, a o coś zupełnie innego.

Jednakże uporczywe pogłoski o bezpośrednich rokowaniach Stolicy Apostolskiej z Sowietami, szczególniejsze względy okazywane Czczerinowi przez arcybiskupa Genueńskiego, nacisk wywierany przez moralny autorytet Kościoła na uczestników Konferencji celem doprowadzenia jej do zamierzonego przez Lloyd'a George'a wyniku — „ponownego dopuszczenia Rosji do związku narodów ucywilizowanych,” to jest, uznania *de jure* rządu Sowietów, — wszystko to świadczy o tem, że duch Św. Gwalberta z jego metodą szerzenia wiary nie jest zupełnie obcym i współczesnym sługom Kościoła. Bo kimże jest Św. Gwalbert taki, jakim go poeta przedstawił? Nie jest on wcieleniem idei Chrześcijaństwa, ani idei Kościoła. Ten święty starzec, choć święty, jest człowiekiem, jest pewnym typem człowieka. Jego ludzka cecha jest, że idzie po linii najmniejszego oporu, co nie jest bynajmniej cechą religii chrześcijańskiej, która nie uczy wcale szukać łatwych dróg. Św. Gwalbert, nie umiejąc poruszyć żywych serc, idąc za Lechem, któremu daje w imię krzyża zwycięstwo, chrzci niedobitych. Zbawia dusze mechanicznie, nie wierząc w ży-

wą duszę ludzką. Stracił u ludzi wiarę ostatecznie po tej nocy rzezi, której był biernym świadkiem.

...„Kto noc taką widział,

Ten wie, co waży świat... co warci ludzkie.“
Po nocy rzezi, która zapanowała w lipcu 1914 r. i trwała lata, i w której mrokach dziś jeszcze żyjemy, też można przyjść do wniosku, że nie wiele waży świat i nie wiele warci ludzkie i łatwo może zrodzić się pokusa — nie dla Kościoła, który wieki trwa i pokus nie zna, — lecz dla sług jego, którzy ludźmi są i słabostkom ulegają — pokusa mechanicznego łatwego szerzenia wiary: chrzcił niedobitych w Rosji. Jakież plon obfity obiecują jej pola, gdzie leżą nieopogrzebane trupy, gdzie błędzą żywe kościotrupy, gdzie matki umierające z głodu, błagają, aby zabrać od nich nawpół żywe dzieci.

Więc śpieszy Św. Gwalbert, a arcybiskup genueński stara się podróż mu ułatwić... I nie widzą, że dokoła nich i razem z nimi — dusze martwe, które do życia obudzić większy trud, ale i większa zasługa, niż chrzcić niemowlęta.

Tam, w Rosji, trzeba przedewszystkiem umarłych grzebać i nakarmić tych, co jeszcze nie umarli. Tu, w Europie, trzeba budzić do życia martwe dusze, których już żadne cierpienie nie wzrusza i żadna ohyda nie odstrasza, trzeba obudzić sumienie ludzkości, które obojętnie patrzy na najstraszniejsze rzeczy.

A z punktu widzenia chrześcijańskiej religii, którą nie cierpienia fizyczne straszą i nie dobra doczesne obchodzą, co jest straszniejszym: Rosja konająca pod władzą bolszewicką, czy Europa dla zysków oczekiwanych tę władzę uznająca?

Ci, co w Rosji giną, przez mękę będą zbawieni, lecz cóż zbawi duszę giełdziarzy, którzy w Genui krwią ludzką jak naftą handlują. Dziś droga najprostsza i najkrótsza do piekła z Genui, a nie z Moskwy prowadzi.

O tem św. Gwalbert zapomniał.

Leon Kozłowski.

O REWIZJĘ PROGRAMÓW.

Chwila obecna wymaga zasadniczej rewizji dotychczasowych programów. Dla przykładu wymienić należy taką P. P. S. Dzisiaj przestaje ona być stronnictwem, gromadzącem proletarijat, gdyż robotnika odbierają jej N. P. R. i Ch. D., po części partja komunistyczna, tak, iż w jej szeregach zostanie radykalna inteligencja oraz co najwyżej część klasy robotniczej, a mianowicie robotnik ukwalifikowany i zorganizowany, stanowiący arystokrację robotniczą, istniejący w Polsce tylko w niektórych okręgach silnie przemysłowych.

W tych warunkach dotychczasowe hasła polityczne, niewolniczo naśladowujące socjalizm zachodnio-europejski, muszą się zwrócić przeciwko interesom partji; radykalizm polityczny, domagający się powszechnego i równego prawa głosowania w kraju przeważnie rolniczym grozi zmajoryzowaniem tej partji przez żywo-ły wiejskie i stojące poza stronnictwem masy proletariatu miejskiego; emancypacja polityczna

kobiet w naszym kraju w obec wielkiej ich religijności, również może się tylko przyczynić do zmniejszenia wpływów P. P. S. i t. d.

Przeciwieństwem P. P. S. jest N. D. wraz ze stronnictwami, które się koło niej zgrupowały. Stoi na wręcz przeciwnym stanowisku; kiedy mianowicie P. P. S. wysuwa hasła klasowe, to N. D. wysuwa hasła narodowe i religijne. W latach niewoli i ucisku życie nasze ograniczało się do pracy (legalnej i nielegalnej) nad ratowaniem katolicyzmu i polskości, przesładowanych przez rząd rosyjski, gdyż wobec skrepowania politycznego zamknięte były dla nas inne kierunki pracy publicznej; w chwili wojny światowej nad inne zagadnienia wybiła się najpierw kwestja orjentacji (państwa centralne czy ententa) a później, po zawarciu rozejmu, praca gorączkowa i zaimprovizowana o wyjednanie uznania dla Państwa Polskiego o ustalenie jego granic, oraz o jego obronę przed bolszewikami. Wówczas hasła, które wysuwała N. D., porywały masy; dzisiaj stały się one już w znacznej części bezprzedmiotowe, albowiem wobec nowego ugrupowania międzynarodowego (rozłam między Francją a Anglią, zbliżenie angielsko-niemieckie, zbliżenie bolszewicko-niemieckie i t. d.) dawny front antyniemiecki zmienił zasadniczo swe znaczenie, a wobec ustalenia granic Państwa Polskiego, jeszcze tylko Wileńszczyzna i Wschodnia Małopolska, zagrożone oderwaniem od Państwa Polskiego, odczuwają silnie hasła N. D., natomiast w innych częściach Polski w miejsce dotychczasowych zadań wysuwają się nowe, a N. D. okazuje tylko żądę zdobycia władzy dyktatorskiej, ale nie ma żadnego nowego programu i nawet nie pracuje nad nim, gdyż obawia się, że nowy program musiałby doprowadzić do rozłam w stronnictwie, złożonym z najróżnorodniejszych żywiołów, zbliżonych do siebie na podstawie dotychczasowego, jednostronnego programu.

Nieinaczej dzieje się wśród partji ludowych. Chłop jest nawskroś konserwatystą i posiada silnie rozwinięte poczucie hierarchji społecznej, ale czując, że miara jego wpływów politycznych nie odpowiada tym siłom gospodarczym i politycznym, które on poczuł w chwili obecnego wstrząśnienia — wystąpił do walki o władzę z całym radykalizmem, a raczej bezwzględnością polityczną, cechującą wszelkich politycznych nowicjuszów i w walce tej przeciwko klasom posiadającym dotychczas przemożne wpływy stanął on w jednym szeregu ze stronnictwami radykalnymi, a nawet rewolucyjnymi, ale dziś mając w Polsce przygniatającą przewagę polityczną, wywalczywszy ustawę o reformie agrarnej i korzystając hojnie z wszelkich korzyści, które daje władza, — klasa włościańska staje się coraz bardziej konserwatywną i przedstawia dziś wartość wprost nieocenioną, jako skuteczna przeciwwaga prądów komunistycznych. Zetknąwszy się z trudnościami władzy i rządów, klasa włościańska poczynna rozumieć znaczenie inteligencji, a równocześnie dojrzenia politycznie, w tych zaś częściach Polski, które mają gęstą ludność rolną, występuje już silne zróżniczkowanie dotychczas niemal jednolitej warstwy włościańskiej, która dzieli się te-

raz na proletarjat wiejski (małorolnych i bezrolnych) i na bogatych kmieci, a apetyty proletariatu wiejskiego zwracają się dziś już nietylko ku gruntom dworskim, lecz także i kmiecym. W tych warunkach ustawa o reformie agrarnej, wstrząsająca prawem własności, staje się niebezpieczną w równym stopniu także i dla bogatych kmieci.

Ponadto niezależnie od wyżej przedstawionych różnic politycznych, popełniano wspólnie błędy polityczne, wypływające z braku należytego obmyślanego programu wobec przeżywanego obecnie przesilenia. Kiedy pewna grupa występowała z żadaniami popularnymi wśród szerokich warstw, zawsze chwytało się najprostszego załatwienia, mianowicie wziąć jednym a dać drugim, nie zastanawiając się nad dalszymi następstwami takiej polityki. Znamiennem jest, że podnoszono wydatnie płace robotnikom przemysłowym, a równocześnie organizowano „czarne strajki“ na wsi, które musiały doprowadzić do drożyzny produktów wiejskich, zwyżkę płac uczynić illuzoryczną i zdeprecjonować naszą walutę. Niestosunkowy (choć tylko pozorny) wzrost zarobków robotniczych z jednej strony, a z drugiej strony zubożenie przeważnej części inteligencji miejskiej sprawiają, że dziś przeciętny mieszkaniec miasta nie może zapłacić ani $\frac{1}{10}$ czynszu potrzebnego na procentowanie kapitału, włożonego w budowę domu, co powstrzymuje całkowicie ruch budowlany i sprawia, że brak mieszkań staje się coraz dotkliwszym z roku na rok, a na te wszystkie niedomagania nie wymyślono dotąd u nas innego lekarstwa, jak utrzymywanie ustawy o ochronie lokatorów, która wobec deprecjacji waluty wyrodziła się w konfiskatę domów, oraz bezwzględna rekwizycję mieszkań na cele publiczne. Wyżej wspomniana deprecjacja waluty pociągnęła zubożenie przeważnej części inteligencji, a to zubożenie znowu wytwarza zastój w przemyśle, a tem samem i bezrobocie, bo dla zubożalego inteligenta staje się zbyt kosztownem sprawienie nowego ubrania, nie mówiąc już o innych wydatkach. Przy uchwalaniu reformy agrarnej nie zastanawiano się, jak ona oddziała na produkcję i nie doceniano tego, że zmniejszenie i podrożenie produkcji rolnej wprost grozi zagładą miastom t. j. przemysłowi, zawodom wolnym miejskim i klasie urzędniczej. Przykładów takich możnaby przytoczyć bez liku. Ogół, cierpiący istotnie dotkliwe braki i spodziewający się ich usunięcia przez pozornie radykalne, a w istocie bezskuteczne środki, nie zdaje sobie sprawy, że skutkiem wstrząśniętej równowagi gospodarczej miasta są zagrożone w swym bycie, bo ziemia zawsze rodnąć będzie, jeżeli tylko się znajdą ręce do jej uprawy i swych posiadaczy wyżywi, ale jeżeli nie zdołamy usunąć wyżej wspomnianych niedomagań obecnego stanu, to zanikną miasta (tak jak one zanikły w państwie rzymskiem skutkiem podobnych wstrząśnień w 4 i 5 wieku po Chr. i jak obecnie zanikają w Rosji), a z nimi zaniknie przemysł i inteligencja miejska, następstwem zaś tego będzie nie demokratyzacja, lecz schłopienie społeczeństwa, t. j. zanik wszystkich innych klas społecznych prócz klasy włościań-

skiej, z nim zanik podziału pracy i stoczenie się gospodarstwa włościańskiego do produkcji pierwotnej, gdzie posiadacz wszystkie swe potrzeby opęda produktami własnego gospodarstwa, podobnie jak to widzimy obecnie na wsi rosyjskiej.*)

Nie możemy przytem zapominać, że obok nas na Wschodzie leżą olbrzymie, dziś silnie wyludnione obszary Rosji ze swemi niezmiernymi bogactwami naturalnymi, czekającymi tylko na ludzi ukwalifikowanych i na ręce do pracy. Każda jednostronność u nas w kraju przyczyni się do emigracji na Wschód, gdy tylko tam ustana rządy terrorystyczne, i nasz inteligent, nasz robotnik lub nasz kapitalista znajdzie w Rosji otwarte dla siebie pole i przyczyni się do gospodarczej odbudowy tego Państwa.

Wobec tego stanu rzeczy konieczną się staje rewizja dotychczasowych programów partyjnych, a dowodem zdrowego instynktu w społeczeństwie naszym jest pewien sceptycyzm wobec dotychczasowych haseł i programów, które nie spełniły nadziei i przyniosły zawody. Wszystko czyni konieczną rewizję dotychczasowych programów, bo dziś już u nas zdają sobie sprawę, że demokracja nie polega na bezkrytycznym wprowadzaniu w życie sympatycznych, lecz nie należycie obmyślanych programów, ale na władzy opartej o zaufanie ludności, a bezwarunkowo z demokracją nie da się pogodzić tajność istotnych celów i programów politycznych, maskowana przed ludnością, wywieszaniem popularnych haseł.

Franciszek Bossowski.

WALUTA.

(Dokończenie.)

Jedynym sposobem uzdrowienia naszej waluty jest wstrzymanie emisji. Uważam za szkodliwe jej powiększanie, choćby służyło nabywaniu złota i srebra. Pokrycie kruszcowe jest potrzebne, ale drukowanie w tym celu pieniędzy papierowych inści się drożyzną. Nawet nabywanie walut i dewiz zagranicznych w zamiarze regulowania kursów nie wydaje mi się wskazaniem. P. K. P. musi wczasu nabywać pewne ilości walut i dewiz na potrzeby skarbu, choćby przyszło je płacić nowymi emisjami. Ostatnio zaczęła je nabywać w zamiarze odsprzedawania, gdy drożeją, ażeby tym sposobem zapobiec ich dalszej zwyzce. Proceder podobny praktykowały banki emisyjne z powodzeniem przed wojną. Stąd wniosek, że i obecnie jest wskazany. Zapominają zwolennicy tego mniemania o przysłowiu: „Quod licet Jovi, non licet bovi“. Przed wojną banki nie wybijały na ten cel nowych niewymienialnych pieniędzy papierowych. Regulowanie kursu przez sprzedaż dewiz nie może trwale przyczynić się do stabilizacji marki, jeżeli równocześnie bank emisyjny mnoży ilość marek gwoli zakupna dewiz. Może wyrzeć ten skutek, gdyby bank kupował dewizy markami, dawniej puszczono

nemi w obieg, gdyby była pewność, że rząd, zmuszając bank do nowych emisji, umożliwiających udzielenie przez bank pożyczek skarbowi, nie pokrzyżuje usiłowań stabilizacji marki.

Nie ustają żądania nowych wydatków. Trzeba sobie jasno uprzytomnić, co to znaczy? Skarb z podatków wraz z wliczeniem dochodów, które osiąga skutkiem nałożenia jednorazowej daniny, nie jest w stanie pokryć wydatków już postanowionych. Niedobór budżetowy wynosi z górą sto miliardów. Nowe wydatki oznaczają wielkie zwiększenie niedoboru budżetowego. Pożyczkami ani wewnętrznymi, ani zewnętrznymi nie można wyrównać braków, bo kapitałiści nie mają zaufania do polskiej gospodarki skarbowej z powodu nadużywania prasy drukarskiej przez państwo polskie. Żądania nowych wydatków są w danych warunkach identyczne z wezwaniem do wybitcia nowych pieniędzy. Obojętną jest rzeczą, czy poplecznicy tego projektu zdają sobie sprawę z tego, co czynią? Wiadomo przecie: „Dobremi chęciami jest piekło brukowane“. Najlepsze chęci nie ochronią nas przed drożyzną i spadkiem naszej waluty, temi nieuchronnymi następstwami wybitcia nowej fali pieniędzy papierowych. Byłoby zgola niezrozumiałem, gdyby było inaczej. Skąd właściwie zagranica przychodzi do tego, ażeby nam sprzedać więcej bawełny, maszyn, kawy, herbaty etc. z tytułu wybitcia przez nas nowych pieniędzy papierowych? Rząd podnosi pensje urzędnicze. Przypuśćmy, że dolar kosztuje nadal tyle marek polskich, ile kosztował przed zwyzką pensji. Wówczas urzędnik mógłby kupić więcej kawy lub innych zagranicznych towarów. Kupuje je. Ilości konsumowane mu nie wystarczają. Żąda nowych podwyżek. Jego pobory wzrastają. Nabywa bieliznę, pomarańcze, czekoladę w coraz to większych ilościach. Przecież to jest nie do pomyslenia, a zająłby musiało, gdyby nowe emisje nie wpływały drożęjąco na kurs dewiz. Łatwo dowieść, że zagranica w znacznej mierze ignoruje nasze emisje. Od chwili utworzenia państwa, od listopada 1918 r. przybywa marek. Już trudno je zliczyć, ale ilość dolarów, któremi rozporządzamy, nie wzrasta. Przeciwnie. Zmniejsza się. Przeliczywszy ilość marek polskich z końca 1918 r. na dolary wedle ówczesnego kursu, przeliczywszy ich ilość obecną na dolary wedle dzisiejszego kursu, łatwo wyrachować zmniejszenie się ilości dobrych walut zagranicznych, któremi możemy rozporządzać. Zagranica ani myśli dać nam więcej dolarów z tytułu mnożenia naszych marek. Co gorsza, nie chce nam pożyczyć dolarów, póki nie zaniechamy druku nowych pieniędzy. Ten stan rzeczy musi odbić się podrożeniem towarów na targu wewnętrznym.

Szczególnie niebezpiecznym sofizmatem, którym się łudzi nasza opinja publiczna jest przeświadczenie o potrzebie równowagi między poszczególnymi działami wydatków. Często jest mowa o braku granic naturalnych, który nas zmusza do wielkiego wysiłku militarnego. Przypuśćmy, że tak istotnie jest. Cóż stąd wynika? Jeżeli wydatki wojskowe są nieuchronnie wielkie, musimy zmniejszyć inne. U nas rozumuje się wprost przeciwnie. Zakłada się konieczność wielkich wydatków wojskowych. Powtóre, konieczność nieprzeznaczania na ten cel zbyt wielkiego procentu ogólnej sumy rozchodów. Ażeby ten podwójny cel osią-

*) W Rzymie nie przyszło w 4 i 5 wieku po Chr. do takiego schłopienia, gdyż większa własność ziemska zdołała w obrębie swego gospodarstwa utrzymać specjalizację i podział pracy.

gnać, podwyższa się preliminarze wydatków sanitarnych, szkolnych i innych, boć przecie, nie uchodzi szafować groszem publicznym głównie na cele militarne. Zwolennicy znacznych rozchodów wojskowych wcale nie czują się powołani do żądania, ażeby tworzenie fakultetów medycznych w Poznaniu i Wilnie odroczyć o lat kilka. Poplecznicy ich natychmiastowego otwarcia nie domagają się redukcji wojska. Jedni i drudzy stwierdzają konieczność obu wydatków, ale nie chcą uznać spadku marki za nieuniknione następstwo obu poprzednich „konieczności”. Dziwią się naiwnie, czy też perfidnie, jakim sposobem kraj o tak wielkich bogactwach naturalnych może mieć tak złą walutę. Jakgdyby węgiel i nafta, drzemiące w głębi ziemi, a nie rządy nakazywały wybijać pieniądze papierowe w nadmiernej ilości.

Mógłby mi na to ktoś powiedzieć, że zrównoważenie dochodów i wydatków może dokonać się odpowiedniemi podwyższeniami podatków. Bez wątpienia. Nie od dziś jestem zwolennikiem silniejszego naciśnięcia śruby podatkowej. Niestety, nie można wycisnąć dowolnie wielkich funduszy tą drogą. Można wydobyć 25 — 33% dochodu społecznego. Chęć uzyskania więcej uniemożliwiłaby oszczędzanie, a więc uzyskanie kapitału, potrzebnego do rozbudowy działalności gospodarczej. Przesilenie wynikło stąd, że w chwili wybuchu wojny rząd za wiele ludzi począł zatrudniać. Jedyńm sposobem ratunku jest zmniejszenie państwowego personelu cywilnego i wojskowego. Uważam za błąd w rozumowaniu pomijać przyczyny najbliższe, bezpośrednie na rzecz dalszych. Błąd doniosły, bo rozstrzygający o wyborze środków zaradczych. Skuteczne muszą polegać na walce z podstawowym współczynnikiem zjawiska, a nie na próbach leczenia symptomów pochodnych.

Drukowanie pieniędzy papierowych było w pewnych granicach koniecznością wojenną. Czas najwyższy otrząść się z psychozy wojennej. W toku wojny czasami popłaca hasło mierzenia sił na zamiary. Wysiłek finansowy i gospodarczy jest niezdołny do podobnych lotów. W tym zakresie powodzenie uwarunkowane jest mierzeniem zamiarów podług sił. Megalomanja wiedzie do zguby. Za czasów austriackich, a więc kilka lat temu, nie było w Krakowie rządowego gimnazjum żeńskiego. Państwo pobierało czesne za prawo uczęszczania do szkół średnich. Instytucja lekarzy szkolnych była w gimnazjach nieznaną. Obecnie wszystko się zmieniło. Czy na lepsze? Mnie się zdaje, że nie, bo administracja austriacka nie uskuteczniała swych zamierzeń środkami finansowo, gospodarczo i moralnie potępienia godnymi. Tylko w świetle psychozy wojennej cele zawsze uświęcają środki.

Emisja pieniędzy papierowych umożliwia państwu życie nad stan. Rozrzutność w gospodarce państwowej, nierozumna, bo niepomna zasady: „Pamiętaj rozchodzie żyć z dochodem w zgodzie”, jest naśladowana skwapliwie przez całe społeczeństwo. Gdy państwo kroczy drogą pozornie łatwego wzbogacenia się bez oszczędności i pracy, trudno wymagać od obywateli innego postępowania. Tylko oszczędnością w gospodarce publicznej możemy skutecznie przeciwdziałać deprecjacji waluty i moralności.

Prof. Adam Krzyżanowski.

W SPRAWIE DROŻYZNY.

Dzienniki doniosły o usiłowaniach Ministerstwa Skarbu, zmierzających ku powstrzymaniu drożyzny. Sprawę tę rzeczywiście uważać należy za środek ciężkości naszego obecnego położenia. Przejawy obecnej drożyzny można streścić w dwóch punktach zasadniczych: 1) nieprzystosowanie produkcji do potrzeb rynku wewnętrznego, wskutek czego niektóre fabryki nie mogą zbyć swych zapasów na rynku wewnętrznym, gdyż obciążają ten rynek stratami produkcji obliczonej na eksport, który zawiódł, 2) nieprzystosowanie cen wytworów do możliwości zakupowej konsumentów. Środki zaradcze ad 1): ponieważ głównym regulatorem produkcji jest kredyt, przeto należy zaopatrzyć konsumentów (a raczej ich organizacje jako takie) w dostateczne środki kredytowe, aby w ten sposób skierować produkcję na właściwe tory. Tylko kredyt, i to jaknajtańszy, a *udzielony producentom w postaci zaliczek na pewne zamówione wyroby*, może spowodować stopniowe przystosowanie wytwórczości do potrzeb rynku wewnętrznego i może do pewnego stopnia wpłynąć na ad. 2) obniżenie cen wytworów, bo instytucje udzielające (b. taniego) kredytu wytwórczego, a reprezentujące interesy konsumentów, mogą postawić za warunek jego udzielenia, aby zysk przedsiębiorcy nie przewyższał pewnego oznaczonego % kosztów wytwarzania, co już właściwie odnosi się do punktu 2).

W dalszym ciągu zamawiające organizacje konsumentów (związki spółdzielcze i miasta całe), będąc jednocześnie hurtownikami, mogłyby wskazać detalistom ceny, po jakich mają towar sprzedawać, przyczem gwarancji za dotrzymanie tych cen musiałyby udzielić istniejące związki detalistów. Kredyt taki musiałby być bardzo tani, aby mógł racjonalnie konkurować z kredytem bankowym. Dopiero zastosowanie tego systemu umożliwiłoby rządowi racjonalne stosowanie kontroli cen i nakładanie kar za lichwę, bo byłaby ona wtedy przekroczeniem cen z góry oznaczonych na podstawie kosztów produkcji.

Oczywiście wszystko to jest dopiero uogólnieniem drogi, jaką może wybrać należy. Podstawą urzeczywistnienia musiałaby być instytucja kredytowa centralna, zależna np. od związku miast, oraz szereg izb wyrównawczych, które np. udzielając kredytu na wytwór surowców lub półfabrykatu w postaci czeku na instytucję kredytową, w następstwie, po odstąpieniu tego surowca lub półfabrykatu do wskazanej fabryki dla dalszego przerobu, — zarachowywałyby określoną nadwyżkę wartości na dobro producenta tego pierwszego wytworu, oraz wartość całą surowca lub półfabrykatu, jako część kredytu udzielonego na gotowy wyrób tej fabryce, która stanowi następne, lub końcowe ogniwo w łańcuchu produkcji. Te same izby obrachunkowe mogłyby zarachowywać zaliczki wpłacone do banku na gotowy towar przez kooperatywy i te zrzeszenia lub instytucje, którymby był powierzony podział produktów.

Najważniejszym zadaniem tych instytucji byłaby kalkulacja cen surowców, półfabrykatów,

produktów gotowych, oraz zarobków przedsiębiorców we wszystkich stadjach produkcji, przyczem ostatecznym celem tej pracy musiałoby być dostosowanie ostatecznych cen wyrobów do zdolności zakupowej rynku.

Przy obecnym systemie produkcji podwyżki cen produktów gotowych przewyższają zawsze kilkakrotnie podwyżki zarobków, co pochodzi stąd, że 1) podwyżki zarobków dotyczą wszystkich stadjów fabrykacji, a zatem składają się kilkakrotnie w gotowym wyrobie, 2) kapitał wypłacony robotnikom jest również przedmiotem handlu i musi odrzucić procent finansistom i procent ten jest tem większy, im większe jest zapotrzebowanie kapitału.

Stąd zredukowanie do minimum, lub zniesienie zupełne pobierania procentu od kredytów produkcyjnych i to we wszystkich stadjach produkcji, oraz ograniczenie zysku przedsiębiorców do 10%, kosztów produkcji przyczyniłoby się do stopniowego coraz większego obniżania kosztów produkcji i cen, gdyż obniżałoby stopniowo także i koszt surowców i maszyn potrzebnych dla danej gałęzi produkcji. Zastrzegam się jednak raz jeszcze, że ta regulująca działalność musiałaby się ograniczyć tylko do tych producentów i do tych przedsiębiorstw, którzyby z tego kredytu społecznego na określonych warunkach korzystali, nie dotykałaby ona natomiast tych, którzyby woleli produkować drogo i z wielkimi zyskami i korzystać z drogiego kredytu instytucji prywatnych. Ci z natury rzeczy musieliby produkować na eksport, bo na rynku wewnętrznym po pewnym czasie nie mogliby konkurować z producentami skupionymi w powyższy sposób przy instytucjach samorządowych i przy zrzeszeniach konsumentów. Przyczem instytucje te, przy rozdziale zamówień, mogłyby się kierować nie widzimisię, ale dokładną statystyką konsumpcji i potrzeb i dlatego pracowałyby bez ryzyka.

Ogromny rozwój gospodarki miast i takież samorzutny rozwój zrzeszeń kooperatywnych dowodzi, że, o ile zarzuty niedołęstwa w dziedzinie gospodarczej, stawiane centralizmowi państwowemu, są słuszne, o tyle nie mogą one naogół dotyczyć działalności ekonomicznej ciał autonomicznych miejskich i prowincjonalnych; nasze zaś niedomagania pod tym względem nie pochodzą z błędności zasady, ale stąd, że nie mając przez długie lata samorządu miejskiego, nie nauczyliśmy się jeszcze w tej dziedzinie pracować jak należy.

Unikając więc etatyzmu i państwowego centralizmu, dążmy do oparcia organizacji ekonomicznej o bardziej przystosowane do tych zadań ciała autonomiczne, przede wszystkim miejskie.

Dalszym środkiem, zmierzającym do zmniejszenia kosztów produkcji, a więc i drożyzny, byłoby podniesienie wytwórczości pracy za pomocą zainteresowania pracowników w ten lub inny sposób w rezultatach tej pracy, co jednak nie należy już do tematu obecnego artykułu.

Z. Łada.

POLSKIE TOWARZYSTWO BADAŃ PSYCHICZNYCH.

Polskie Towarzystwo Badań Psychiczych powstało w Warszawie w 1919 r. staraniem kilku osób, zajmujących się zjawiskami medjumicznymi. Towarzystwo takie powstać musiało siłą rzeczy.

Niezwykle zainteresowanie całego świata cywilizowanego medjumizmem, prace wybitnych uczonych, że wymienimy tylko Crookes'a, Ochorowicza, Richet'a, du Prel'a, Logde'a i Bozzano'a, duża ilość i jakość t. z. medjów w Polsce, niewątpliwa ważność zagadnienia, a wreszcie konieczność ujęcia w ręce kompetentne badań medjumizmu, prowadzonych u nas po amatorsku i nieumiejętnie, wszystko to dało impuls do założenia Towarzystwa.

Celem Towarzystwa jest naukowe badanie zjawisk medjumicznych i im pokrewnych, jako należących do dziedziny psycho-fizjologii doświadczalnej.

Zjawiska medjumiczne stanowią część zjawisk t. z. metapsychicznych. Metapsychika (wyraz wprowadzony przez K. Richet'a i W. Lutostawskiego) obejmuje te zjawiska psychiczne, których nauka oficjalna dotąd w całości nie uznała, jak n. p.: przenoszenie myśli, widzenie lub słyszenie ze znacznej odległości bez pomocy przyrządów, poruszanie przedmiotów z odległości bez pomocy środków mechanicznych, lub jakichkolwiek bądź innych znanych i t. p.

Między zjawiskami metapsychicznymi a psychicznymi różnica istotnej niema, oba działy są gałęziami przyrody, a pozorna cudowność pierwszych świadczy tylko o nieznaności pewnych praw przyrody i psychologia fizjologiczna, odrzucająca, dotychczas przynajmniej, metapsychikę, będzie musiała się nią zająć, na czem zresztą tylko skorzysta.

Niezawodnie, że pewne, choć niesłuszne, zmieszanie metapsychiki ze spirytyzmem, niejednokrotnie groteskowość zjawisk, niemożność otrzymywania, a zatem i badania laboratoryjnego, zjawisk metapsychicznych na zawołanie, odstraszać i zniechęcać mogły naukę oficjalną, faktem jednak jest niezbitym, iż realność tych zjawisk została dowiedziona eksperymentalnie bez najmniejszego zarzutu (v. Crookes), co powinno było skłonić naszych psychologów i przyrodników do zwrócenia bacniejszej, niż dotąd, uwagi na owe niezwykle zjawiska.

Wobec interesujących prób zastosowania hipnotyzmu do otrzymywania fenomenów metapsychicznych na zawołanie, istnieje obecnie nadzieja, że badanie zjawisk można będzie prowadzić systematycznie i pod ścisłą kontrolą.

W kwietniu roku ubiegłego Towarzystwo gościło w Warszawie prof. K. Richet'a i d-ra Geley'a, dyrektora Instytutu Metapsychicznego paryskiego. Na posiedzeniu Towarzystwa prof. Richet wygłosił uwagi godną przemowę, w której między innymi stwierdził zgodność poglądów swoich i Instytutu Metapsychicznego z poglądami P. T-wa.

We Francji, wobec rozpowszechnienia się „flirtu z zaświatem“ (jak nazwał jeden z uczo-

nych seanse spirytystyczne), wywierającego na ogół wpływ niewątpliwie szkodliwy, Sorbona utworzyła komisję, złożoną z pp. D-ra L. Lapique'a, D-ra H. Pieron'a i D-ra G. Dumas'a, profesorów Uniwersytetu, znanych ogólnie uczonych, mającą na celu zbadanie całej sprawy i ewentualne stwierdzenie realności zjawisk medjumicznych.

Komisja ta tak się wyraziła o P. Tow. B. P.: „Slyszeliśmy o Towarzystwie Badań Psychiczych i jego pięknych usiłowaniach ujęcia w ramy nauki badania (une étude), które zachowuje jeszcze najczęściej charakter mistyczny“. Jak widać z powyższego, praca Polskiego Towarzystwa zyskała uznanie wybitnych uczonych. Tymczasem pewne pismo polskie wystąpiło przeciwko Towarzystwu B. P. z zarzutem uprawiania spirytyzmu, a z racji ankiety, skierowanej do osób zajmujących się kwestjami metapsychicznymi, z zarzutem szerzenia psychozy spirytystycznej. Sądzimy, że opinia Sorbony, co do stanowiska naukowego T-wa B. P., wystarcza za odpowiedź, a co się tyczy ankiety, nadmienimy jeszcze, że angielskie „Society for Psychical Research“ rozesała przed laty kilkudziesięciu bardzo podobną ankietę i na podstawie otrzymanych odpowiedzi ogłosiło poważną i pełną wartości pracę.

Sprawą psychozy spirytystycznej może za mało zajmują się u nas psychopatologowie, zanedo krzewi się za to ultrakrepidantja.

T-wo B. P. nawiązało żywe stosunki z Powszechnym Instytutem Psychologicznym Instytutem Metapsychicznym Międzynarodowym w Paryżu, który udzielił P. T-wu na stałe miejsca w swoim organie „Revue Metapsychique“, wymienia z P. T-wem publikacje i wogóle w stałym pozostaje kontakcie.

W styczniu r. b. P. T-wo wydało swój pierwszy biuletyn, który zawiera szereg prac,

wyjaśniających istotę, klasyfikację i metodykę zjawisk metapsychicznych. Zadaniem, które P. T-wo podejmuje w najbliższej przyszłości jest utworzenie instytutu dla badań metapsychicznych. Przedsięwzięcie to trudne, szczególnie ze względu na brak odpowiedniego pomieszczenia i środków finansowych. Niepłonną jest jednak nadzieja, że jak jedno tak i drugie, się znajdują. Dopiero z chwilą stworzenia warsztatu pracy można będzie postawić metapsychikę polską na stanowisku odpowiedniem, na jakie zasługuje ze względu na swoją owocną pracę, prowadzoną w bardzo niesprzyjających warunkach.

Dr. med. Tadeusz E. Sokołowski.

PAŃSZCZYŻNA KOMUNISTYCZNA I JEJ PLON GOSPODARCZY.

(Ze wspomnień i spostrzeżeń wygnańczych.)

W pół drogi między Krasnojarskiem a Irkuckiem, na pograniczu obu gubernji, prawie w geometrycznym środku Syberji, leży przy linii kolejowej kilkutysięczna wieś *Tajszet*, dziś podniesiona do godności miasteczka. Zaraz niedaleko za wsią po obu stronach kolei zaczyna się tajga, rzadka przerywana polami i pastwiskami, powstałemi przez wykarczowanie. To też chłopci tajszeccy połową serca tylko oddani byli rolnictwu i hodowli bydła, a druga ich serca połowa należała do „tajgi-matuszki“: zajmowali się wiele myśliwstwem i rybactwem, a niejeden z nich mniej lub więcej otwarcie starem rzemiosłem zbójnickiem na wielkim trakcie syberyjskim. Ten niespokojny duch ze swej strony tłumaczy znamienną okoliczność, że za czasów powstania przeciwko władzy Kołczaka na Sy-

G. K. Chesterton

SAVONAROLA.

Savonarola jest człowiekiem, którego nie zrozumiemy prawdopodobnie nigdy, dopóki nie uświadomimy sobie, jakie okropności mogą tkwić na dnie cywilizacji. A nie uświadomimy sobie tego, dopóki nie będziemy cywilizowani. Pożądaniem byłoby w pewnym sensie, ażebyśmy nie zrozumieli nigdy Savonaroli.

Wielcy wyzwoliciele ludzkości ratowali ją przeważnie od klęsk, które uważamy wszyscy za zło, które są naszymi odwiecznymi wrogami. Wielcy prawodawcy ocalali nas od anarchji, wielcy lekarze od zarazy, wielcy reformatorzy od głodu. Ale istnieje zło potworne i bezbrzeżne, w porównaniu z którym wszystkie te klęski są drobnostką, najrozpaczliwsze przekleństwo, jakie spaść może na ludzi i narody, a na które niema imienia, chyba, że nazwiemy je zadowoleniem. Savonarola uratował ludzi nie od anarchji, lecz od ładu, nie od zarazy, lecz od obywatelstwa, nie od głodu, lecz od zbytku. Ludzie, jak on, są świadkami tego straszego psycholo-

gicznego faktu, który wyczuwamy gdzieś w głębi istoty, ale na który nie znalezione nigdy nazwy, że życie wygod jest największym wrogiem szczęścia, a cywilizacja potencjalnie kołosem człowieka.

Sądzę bowiem, że to przejmujące wyzwanie, które Savonarola rzuca rozpasaniu swej epoki, sięga znacznie głębiej, niż sprawa samego tylko grzechu. Równocześni wielbiciele Savonaroli pośród racjonalistów, poczynając od George Eliota, rozwodza się dość słusznie nad silnem uzasadnieniem etycznym gniewu Savonaroli, nad bezecnym i szczególnym charakterem zbrodni, które plugawiły pałace Renesansu. Niepotrzebnie jednak siłą się dowieść, że Savonarola nie był ascetą i, że ujawniał tylko czarne plamy wszelkich zdrożności z chępliwością członka jakiegoś stowarzyszenia etycznego. Nienawidził prawdopodobnie cywilizacji swej epoki, a nie tylko jej grzechów i w tem to właśnie był nieskończenie głębszy, niż nowoczesny moralista. Widział, że zbrodnie nie były jedy-
nem złem, że kradzione klejnoty, zatrute wina, sprośne malowidła były jedynie objawami, że chorobą była całkowita zależność od klejnotów,

berji w r. 1919 Tajszet zastąpił jako ognisko szczególnie ożywionego ruchu partyzanckiego: nawet stacja kolejowa tam zgorzała podczas napadu partyzantów na załogę czeską.

Do tej stacji dotarłem, uciekając za przykładem wielu innych wiosną r. 1920 z tego piekła tyfusowo-głodowego, jakim był obóz dla jeńców w „gródku wojskowym“ koło Krasnojarska, gdzie byłem internowany wraz z innymi oficerami 5 hallerowskiej dywizji Wojsk Polskich po jej kapitulacji. Uciekałem w dość awanturnych warunkach, bo schowany za kufami w wagonie służbowym inżyniera kolejowego Polaka, mianowanego na posadę właśnie do Tajszetu.

W słotną Niedzielę Palmową po długich i przykrych żebrackich wędrówkach po wsi znalazłem przytułek na samym jej północnym kraju w chacie bezdzietnej pary starych kolejarzy. Nie przeczuwałem wtedy, że w kącie na kuchni, który mi litościwie ustąpiono, ugrzęźnę na cały ciężki rok życia. Dążyłem jak inni, na Wschód, by przez morze wrócić do Polski, ale zatrzymało mnie w tem ustronnym przytulisku prócz wzrastającego po Syberji teroru sowieckiego jeszcze jedno złudzenie, któremu wtedy uległo wielu: myśleliśmy, że my na Wschód iść nie potrzebujemy, bo Wschód sam przyjdzie do nas. Raz wraz ponawiali się coraz sensacyjniejsze i zawsze za pewnik podawane pogłoski o bliskiej okupacji japońskiej to po rzekę Ob, to nawet po Ural. „Pragnienie myśl zrodziło“, jak mówi Henryk IV u Szekspira: jęcząca pod uciskiem bolszewickim inteligencja rosyjska z utęsknieniem wyglądała żółtych wrogów swego państwa jako wybawców.

Miałem paszport cywilny zmarłego na tyfus żołnierza parku automobilowego naszej polskiej dywizji, montera Stanisława Adamskiego z Warszawy, i obawiałem się, by mnie niyż-

to do roboty technicznej, w której okazałbym się takim ignorantem i niezgrabą, jakim tylko skończony filozof być może. Mój gospodarz nawet w pierwszy wieczór chciał mnie użyć do naprawy zepsutej dubeltówki, ale udał zmęczonego i położył się spać. Gdym nazajutrz poszukał we wsi zajęcia, na szczęście się okazało, że Tajszet ani elektrowni nie posiada ani innej okazji do monterskiej roboty nie nastęcza: zaś gdy tylko zauważono w gminnym biurze pracy, że jestem jednym z niewielu ludzi w Tajszecie piszących biegle, czytelnie i poprawnie po rosyjsku, że ponadto umiałem sam ułożyć podanie o zajęcie, więc jestem zdatny do pracy koncepcyjnej, w lot zamianowano mnie sekretarzem jednego z najważniejszych nowych urzędów sowieckich w Tajszecie, okręgowego komisariatu aprowizacyjnego, i na tem stanowisku już pozostałem.

Tajszet, jako stolica „włości“, złożonej z kilku okolicznych wiosek, miał dawniej za wszystkie urzędy jedno „wołosnoje prawlenie“, gdzie siedziało wszystkiego osiem osób zarządu i sił kancelaryjnych. W urzędzie, do którego wstępowałem, także wtedy było razem ośmiu ludzi od komisarza do woźnego. Gdy po roku opuszczałem Tajszet, było w nim urzędów *trzydzieści dwa*, zaś mój urząd liczył przeszło 120 funkcjonariuszy. Te cyfry wymownie świadczą o potwornych rozmiarach, jakie przyjmowała w idealnym państwie socjalistycznym biurokracja.

Dziwniejsze zresztą jeszcze rzeczy działy się przez rok mojego pobytu w tym głuchym zakątku tajgi. Nietylko rozwinął się pod rządami bolszewickimi w stałą instytucję amatorski teatr ludowy, dla którego mój kolega z dywizji — architekt ze Lwowa — napisał piękną feerję dla dzieci, a jego żona (uczeńnica Myszugi) muzykę do niej, — nietylko pojawiło się na

wina i malowideł. O tem to zapomina się stale w sądach o dawnych ascetach i purytanach. Nie zawsze występowanie przeciw niewinnym rozrywkom oznaczało tępa nienawiść dla rzeczy, których nikt poza ciasnym moralistą, nie nazwałby szkodliwymi. Oznacza ono nieraz niesłychanie przenikliwe zniechęcenie tego, co jedynie ciasny moralista mógłby nazwać niewinnym. Asceci dostrzegają czasem mniej, niż ludzie przeciętni, ale często też patrzą od nich dalej.

Taką była w każdym razie nienawiść w sercu Savonaroli. Stał do walki nie z pospolitymi grzechami ludzkimi, lecz z bezbożnym i niewdzięcznym bezwładem, z nawyknięciem do szczęścia, tego mistycznego grzechu, który sprowadzał upadek całego stworzenia. Nauczał surowości, która jest autentyczną cechą młodości i nadziei. Nauczał żywości, zwinności, czujności, które są równie niezbędne do zdobycia radości, jak do zdobycia świętości, równie niezbędne dla miłośnika, jak dla mnicha. Jeden z krytyków zaznaczył słusznie, że Savonarola nie mógł być zasadniczo antyestetyczny, mając takich przyjaciół, jak Michał Anioł, Botticelli i Lu-

ca della Robbia. Faktem jest, że taka czystość i taka surowość są więcej nawet niezbędne do właściwego ocenienia życia i wesela, niż do czegośkolwiek innego. Na to, ażeby żaden ptak nie przeleciał niepostrzeżenie dla oka, ażeby umysł notował cierpliwie każdy kamień i każde ziele, a pamięć gromadziła w sobie zachody słońca, trzeba umieć ujmować swe radości w karby dyscypliny i pielęgnować w sobie uczucie wdzięczności.

Cywilizacja, otaczająca zewsząd Savonarolę, była cywilizacją, która poszła już w błędnym kierunku, w kierunku, prowadzącym do niezliczonych wynalazków, ale nie do odkryć, przy którym nowe rzeczy starzeją się z niesłychaną szybkością, ale stare, nie ulegają nigdy odnowieniu. Potworność zbrodni Renesansu nie była oznaką wyobraźni; przeciwnie, jak każda potworność, świadczyła o jej zaniku. Człowiek stwarza Centaura dopiero wówczas, kiedy przestaje widzieć konia takim, jakim jest istotnie. Zaczyna wielbić djabła dopiero wówczas, kiedy byk przestaje wprawiać go w podziw, Mary djabelskie są podniętą wyczerpanej wyobraźni, gorzałką artysty. Savonarola podjął najcięższe ze

horyzoncie tajszeckim kino, ale byłem świadkiem rozpoczęcia pierwszego w Tajszecku kursu — gimnastyki rytmicznej Dalcroze'a!

By jednak powrócić do mojej kariery jako urzędnika sowieckiego, zdawałoby się mogło, że skoro już musiałem poddać się panującemu w republice sowieckiej przymusowi pracy rządowej, nie mogłem materialnie korzystniej trafić, niż do urzędu żywnościowego, i to na wsi w głębi bogatej i zawsze sytej Syberji. Tymczasem właśnie w tym roku naciерpiałem się od głodu więcej, niż w którymkolwiek okresie mojego tułactwa. Jakim sposobem? By zacząć od drugiego z powyższych punktów: chłopcy syberyjscy, którym dawniej istotnie ptasiego mleka tylko brakowało, z ponurą niechęcią patrzyli na przybywające ze świata na falach wypadków politycznych takie figury, jak pracujące po różnych nowych biurach rozbitki z inteligencji i komisarze sowieccy, bo wszystko to przysparzało tylko głodnych gęb, a za gospodarską robotę się nie brało. Przytem ogłoszone na sam początek nowej ery bolszewickiej doraźne unieważnienie pieniędzy kołczakowskich podcięło zaufanie do wszelkich pieniędzy wogóle, i za papierki sowieckie nikt niczego nie sprzedawał. Stworzywszy więc z dwoma również w Tajszecku się ukrywającymi towarzyszami broni z dywizji i ich żonami małą komunę żywnościową, musieliśmy po kolei rozstawać się z różnemi zbędnymi (a często prawie niezbędnymi) artykułami naszej garderoby, aby nabywać jakieś minimum pożywienia dla naszego wspólnego gospodarstwa. Zaś na ubrania chłop był nieopisanie chciwy, bo nabyć materiał skądkolwiek było zupełnie niemożliwe, i Syberja wnet stała się równie obdarta, jak dziś cała Rosja.

Ale służba w urzędzie aprowizacyjnym — u samego źródła żywności — czyż nie zapewniała przyzwoitych deputatów żywnościowych?

Bynajmniej. Źródłem żywności rzeczywiście ten urząd miał być, ale nie dla nas Sybiraków, lecz dla głodującej Rosji europejskiej. Wziąwszy pod swą administrację składy miejscowej kooperatywy, która handlem być przestała, urząd zaopatrywał w żywność mieszkańców miejscowych tylko w bardzo ograniczonym zakresie — tylko urzędników sowieckich — i to tak skąpo, że był szereg miesięcy, w którym otrzymałem wszystkiego razem — świecy i wosku — tylko 18 funtów szarej mąki na miesiąc i nawet pudełka zapalek doprosić się nie mogłem.

W myśl ogólnych zasad bolszewickiej polityki żywnościowej, na nowoodzyskanej Syberji sieć urzędów apowizacyjnych po całym kraju zajęła się połowem na olbrzymią daninę żywnościową, którą na rolników całej republiki nałożono. Rozszedł się rozkład („razwiorstka”) tej daniny po gubernjach, powiatach i gminach, i zaczął oprócz urzędów poborczych pracować liczny ruchomy aparat agentów, oraz — wojska „ochrony wewnętrznej”, egzekwujące uiszczenie daniny. Wzamian za ten faktyczny podatek naturalny chłop otrzymywał zapłatę (według śmiesznie niskiej normy) w pieniądzach sowieckich, za które nigdzie niczego kupić nie mógł — ani szmaty dla baby lub dzieci, ani butów dla siebie, ani gwoździa do podkowy, nie mówiąc już o pługu lub motyce. Punkty rozdawcze przy urzędach aprowizacyjnych chronicznie niczego do rozdania nie miały, choć wciąż na nowo zapowiadano materje, wyroby fabryczne i maszyny rolnicze w nagrodę za wypełnienie „razwiorstki”. W niezatartej pamięci pozostanie mi wypadek, gdy chłop z dalekiej wioszczyny w tajdze przyjechał 90 wiorst po sześć gwoździ do zabicia trumny swej zmarłej żony — i wrócił z pustemi rękoma, bo gwoździ nie było.

(D. n.)

Dr. Roman Dyboski,

profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

wszystkich zadań ziemskich: kazał ludziom patrzeć wstecz i podziwiać te rzeczy proste, których się znać już oduczyli. Najbardziej niepopularną z doktryn jest ta, która głosi boskość powszedniego życia. Demokracja, której Savonarola był tak płomiennym heroldem, jest najtrudniejszą z ewangelji. Nic nie przejmuje ludzi większym lękiem, niż wieszczzenie im, że są wszyscy synami bożymi.

Savonarola upadł wraz ze swą republiką.

Ludzie chowani w despotyzmie zapomnieli, czem byli. Niektórzy z naszych współczesnych żywią tak dziwne poszanowanie dla sztuki, literatury i ludzi obdarzonych geniuszem, że rządy Medyceuszów wydają im się postępem w stosunku do rządów wielkiego republikanina florenckiego. Takich to ludzi i ich cywilizacji powinniśmy obawiać się obecnie. Z różnych stron występują znów te same objawy, które wywołały niegasnący gniew Savonaroli: — hedonizm więcej chory ze szczęścia, niż kaleka na skutek swej dolegliwości; pojmowanie piękna, które, wyczerpawszy naturę, szuka jego elementów w zbrodni. Z wielu dzieł współczesnych wyłaniają się napół straszliwe oznaki czysto renesan-

sowego odczuwania piękna krwi i mordu. Zbanrutowana i znieprawiona wyobraźnia nie widzi, że w żywym człowieku jest nierównie więcej dramatyczności, niż w umarłym. Współrzędnie z tem, jak za czasów Medyceuszów, występuje rzucanie się w objęcia despotyzmu, głodne szukanie człowieka silnego, którego nie znają silni. Bohater — władca jest czczony tak zupełnie, jak przez czytelników „Bow Bells Novelettes” i z tychże samych racji — wskutek głębokiego poczucia własnej słabości. Zaczyna przejawiać się ta sama dążność do zrzucania z siebie na innych obowiązków, która jest istotą niewolnictwa, bez względu na to, czy wypełnianie powszednich zadań powierzone jest imperatorowi, czy niewolnikowi. Wielki republikanin klerykalny jest niemilkącym protestem przeciw temu wszystkiemu właśnie; stawia własną porażkę ponad tryumfem przeciwnika. Wciąż jeszcze trzeba wybierać pomiędzy nim i Wawrzyńcem, pomiędzy odpowiedzialnościami wolności i rozkiełzaniem niewoli, pomiędzy niebezpieczeństwami, akie; grozi prawda, i spokojem, jaki zapewnia milczenie, pomiędzy rozkoszą wysiłku i uciążliwym mżołem życia roz-

BOHDAN KUTYŁOWSKI.

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE).

Urodzony na Podolu w roku powstania styczniowego, pozostał przez całe życie synem stepów ukraińskich, które dały mu gorące serce i wzloty myśli i ducha oparte na wysokiej kulturze i wszechstronnej wiedzy zwłaszcza w dziedzinie społeczno-politycznej.

W latach 90-ch przeszłego stulecia, jako młody pracownik, pracował pod kierunkiem ś. p. Wł. Spasowicza i ściśle zespolił się z jego otoczeniem, które w tym okresie stanowiło poważny odłam opinii polskiej. Z powstaniem „Kraju“, w którym pracowali tak wybitni publicyści, jak L. Straszewicz i inni, Bohdan Kutyłowski stale zasiliał go swemi artykułami o bardzo różnorodnej treści. Był to czas pewnej próby *modus vivendi*, kiedy się układały memorjały w sprawie potrzeb krajowych, które były właśnie przez niego opracowane. Gdy w r. 1904 zjawiał się reskrypt o reformach państwowych, Witte wezwał Kutyłowskiego dla opracowania spraw narodowościowych i wyznaniowych. Rezultatem był słynny manifest tolerancyjny. Z powstaniem Izb Ustawodawczych ś. p. Kutyłowski objął stanowisko kierownika biura przy Kole Posłów do Rady Państwa i był uierzędowym przedstawicielem ludności polskiej na Wołyniu, Podolu i Ukrainie.

W międzyczasie ogłosił drukiem ze dwadzieścia prac naukowych, publicystycznych i fachowych, opartych na szerokim światopoglądzie, a skreślonych językiem barwnym i jędrnym. Władał zarówno biegle językami francuskim, polskim i rosyjskim w piśmie i mowie. W jego ręku każda sprawa potoczna pogłębiała się i nabierała charakteru treściwego traktatu.

Wybuch wojny światowej do głębi poruszył jego uczucia patriotyczne. Na razie odezwa w. ks. rokowała niejakie nadzieje, lecz po zajęciu Lwowa i wobec prowadzonej tam polityki zwątpił, aby można było czegoś oczekiwać od carskich rządów.

Dla tego też nadawał wielkie znaczenie zaczątkom tworzącej się państwowości polskiej i w r. 1918 przyjął urząd radcy legacyjnego w Kijowie, a od grudnia do kwietnia r. 1919 przedstawiciela polskiego podczas hetmaństwa Skoropadzkiego w Ukraińskim Dyrektorjacie. Na tym urzędzie nie tylko bronił praw ludności polskiej, lecz zabiegał o ustalenie stosunków Polski do Samodzielnej Ukrainy. Wierzył on w powstanie jej i w konieczność porozumienia pomimo niechęci Galicjan i innych przeszkód. Głęboki znawca tych stosunków zaleca on w swej pracy „Sprawa Ukraińska“, aby Polska nie popełniała historycznych błędów, a mianowicie nie lekceważyła narodu ukraińskiego, nie utożsamiała swej polityki ze sprawami polskich właścicieli ziemskich i nie wytwarzała bohaterów sprawy narodowej.

Pomimo intensywnej pracy w Prokuratorji Generalnej P. Polskiego, w ostatnich czasach działalności swą poświęcił Związkowi narodów wyzwolonych i zamieścił w tej sprawie szereg artykułów w organie związku „Przymierze“. Po raz ostatni witał przepiękną mową w Związku przedstawicieli państw bałtyckich Mejerowicza i Pijpa podczas konferencji.

Obdarzony talentem poetyckim, wydał zbiór swych poezji pod tytułem: „Ponad zamęt“, w którym znajdujemy prawdziwe błyski poezji o wysokim nastroju i uczuciu patriotycznym.

Al. Babiński.

koszy. Poplecznikami Wawrzyńca Wspaniałego są wpośród nas ludzie, dla których narody i imperje nawet istnieją tylko gwoli ich chwilowego zadowolenia, ludzie, którzy wolą ostatnią gorącą godzinę lata, nad surową i ostrą wiosną. Ludzie ci mają sztukę, literaturę, filozofję polityczną, których wartość mierzą jedynie ich bezpośredniemi oddziaływaniami na smak, nie zaś utajonemi w nich zapowiedziami przeznaczeń ducha. Rzeźbione przez nich posążki i ich sonety są niby utoczone i doskonałe. W porównaniu z niemi Makbet jest tylko fragmentem a Mojżesz Michała Anioła tylko napomknięciem. O ich kampaniach i staczanych przez nich walkach mówi się zawsze, jak o tryumfach, podczas gdy Cezar i Cromwell oplakiwali niejedno upokorzenie. Wynikiem tego wszystkiego jest piekło niestawiania oporu, piekło bezdennego gnuszenia w większości, pokąd cała natura nie pograży się w obłęd i przybytek cywilizacji nie nędzie już komnatą wyłożoną poduszkami, lecz obitą materacami celą.

Savonarola dostrzegał w dalj tę ostatnią i najgorszą z klęsk czyhających na ludzi i z całą swą gigantyczną energją próbował skierować rydwan na inną drogę. Niewielu zrozumiało

jego zamierzenia; jedni nazywali go obłąkańcem, inni szarlatanem, inni jeszcze wrogiem radości ludzkiej. Nie zrozumieliby nawet, gdyby im powiedział, że ratuje ich od klęski zadowolenia, która byłaby końcem wszystkich radości i smutków zarazem. Ale są dziś ludzie, którzy wyczuwają to samo ukryte niebezpieczeństwo i prężą siły, ażeby stawić ten sam niemy opór, ich również podejrzewają, że wszczynają spory o jakieś pospolite skrupuły polityczne.

Występując w obronie Savonaroli, M'Hardy mówi, że przesadzono bardzo ilość cennych dzieł sztuki, zniszczonych na stosie całopalnym wszelkiej Próżności. Wyznaje, iż mam nadzieję, że na ten stos złożyły się całe zasoby niezrównanych arcydzieł, jeżeli uczyniona z nich ofiara nadała temu jedynemu doniosłemu momentowi większą doniosłość. Pewny jestem jednej rzeczy, a mianowicie, że przyjaciel Savonaroli, Michał Anioł ułożyłby stos ze wszystkich swych posagów i spalił je wszystkie, gdyby tylko miał pewność, że płomienna zorza przetwarzająca strop niebios jest jutrzeńką jakiegoś młodszego i zubożonego w większą mądrość świata.

(Tłum. z angielskiego M. R.)

LITERATURA I SZTUKA.

Dr. G. J. DIMOWIĆ. *)

DRAMAT JUGOSŁOWIAŃSKI.

Zamiast pisać o dramacie południowych słowian: Serbów, Chorwatów i Słowenców i zaznajomić czytającą publiczność z głównymi środowiskami, gdzie się ona rozwija (z Belgradem, Zagrzebiem i Lublaną), sądzę, że bardziej wskazane będzie w danej chwili zapoznać z ciężkimi okolicznościami i głębokim problematem, które dramat nasz przeżywa obecnie, a od których szczęśliwego rozwiązania nabierze kierunku rozwój i postęp narodowy.

Przystępuję odrazu do przedmiotu.

Naród nasz się zjednoczył. Zjednoczył politycznie, lecz temu zjednoczeniu politycznemu nie towarzyszyła uprzednio duchowa rewolucja, któraby stworzyła ideologię tego zjednoczenia. Co do jednego byliśmy zgodni: że należy zwalić Austro-Węgry, lecz jak usunąć jad z ciała narodowego, który imperjum Habsburskie przez wieki zaszczyliło, i jak zacząć budować swój nowy dom,—o tem nie mieliśmy czasu pomyśleć. Serbja dopiero co skończyła walkę z Turcją i Bułgarią i pokój był dla niej potrzebny dla nabrania sił, zaś nowa orientacja postępowych sfer w Chorwacji zaczęła jeno zapuszczać korzenie. Wszyscy byliśmy świadomi, że jesteśmy jednym narodem, lecz były trzy plemiona, zaś przed wojną europejską — byliśmy ledwie na początku początku. Pojedyncze grupy w Belgradzie i Zagrzebiu zaczęły rozważać, jak możnaby osiągnąć zjednoczenie, by w niem każde plemię zyskało jaknajwięcej, zaś straciło — najmniej. Najważniejszym objawem tych kwestji była ankieta, którą rozpoczął socjolog Skerlić: chociaż Serbowie i chorwaci mają jeden i ten sam język, piszą oni dwoma alfabetami (łacińską i cyrylicą) i mówią dwiema, a nawet trzema wymowami. Najważniejszą sprawą było, by całe plemię miało jedną wymowę i jeden alfabet. Wojna europejska rozgorzała, zaś ankieta Skerlića nie była zakończona; wojna europejska skończyła się oto, ankieta nie była kontynuowana. Jedną z najważniejszych potrzeb paładium jedności narodowej: jedność językowa nie była dokonana. Prawda: jedność literacka została osiągnięta. Zagrzeb czyta to, co Belgrad pisze, i naodwrot; lecz na scenie są dwie wymowy; język dramatyczny nosi lokalną barwę. Czy rzeczywiście emocje dramatu zbudowane są na słowach? Można osądzić jak takie status quo przeskądza normalnemu rozwojowi życia dramatu.

Do jakich konsekwencji doprowadził ten stan — nlechaj służy przykład następujący: w Zagrzebiu wystąpił na scenie doskonały aktor z Belgradu w rolach: Hamleta i Otella na początku tego sezonu. Nie mógł on występować dłużej ponad kilka razy, gdyż wymowa jego była belgradzka i obu-

rzała publiczność. Wobec tego był zmuszony wyjechać do Nowego Sadu, gdzie stał się ulubieńcem publiczności: Nowy Sad mówi po serbsku. W odpowiedzi na niedawne uroczystości poety chorwackiego Kosora we Lwowie, teatr zagrzebski wystawił „Śnieg“ Przybyszewskiego z powodu jego 30-letniego jubileuszu pisarskiego. Rolę główną kreowała pani Mansvetowa z trupy rosyjskiej Muratowa, zaangażowana obecnie na 2 miesiące do Zagrzebia i na 2 do Belgradu. Nauczyła się roli po chorwacku, dla Belgradu uczy się po serbsku.

Jednym z najpierwszych postulatów nowego naszego dramatu jest, by wszystkie teatry w całym państwie, w porozumieniu i uspołecznieniu, ustaliły tekst i i wymowę, któraby obowiązywała na wszystkich scenach. (w danej chwili nie myślimy jeszcze o scenie słoweńskiej w Lublanie, gdyż różnica między językiem słoweńskim a serbsko-chorwackim jest dość wielka). Ta sprawa, oglądana zdala, jest jakgdyby natury raczej technicznej, lecz na miejscu, gdzie się stykają dwie kultury i tradycje, nabiera innego wyglądu. Ponieważ na czele wszystkich instytucji teatralnych stoją ludzie znakomicie przewidujący i oddani sprawie społecznemu, ponieważ dalej państwo objęło instytucje dramatyczne pod opiekę, możemy wierzyć, że kwestja załatwiona będzie z poważną wolą i sumienną pracą.

Równoległe z tą akcją oczekuje i autorów dramatycznych konieczność przystąpienia do budowy języka dramatycznego. Bogactwo naszego języka jest wyjątkowo obfite: wyrażenia niezwykle mocne, lecz dotychczas są one zachowane jedynie w pieśniach narodowych epicznych. Dwa najkłaśniczniejsze dzieła w naszej literaturze „Gorski Vijenac“ i „Smrt Smail-age Cengica“ są utworami epickimi (pierwsze dzieło na formę dialogowo-dramatyczną). Charakterystyczną cechą eposu nigdy nie była zwarta zwięzłość, naodwrot język dramatu jest „langage of bussiness“: krótki, sieczny i ostry, by ból dotarł do duszy. Należy ustalić pewne normy, którychby filologowie może nie zatwierdzili; oprócz tego należałoby zwrócić uwagę filologów na budowę zdań, które poczęły się rozwijać pod wpływem niemieckim, a które nie odpowiadają duchowi języka. Przeszłego lata zapowiedziało towarzystwo literatów chorwackich zwołanie kongresu literackiego, lecz do kongresu nie doszło.

Wielki problemat, który musi być też rozwiązany, to sprawa naszego stylu dramatycznego. Jesteśmy odeń jeszcze bardzo daleko. Najznakomitszym reżyserem w Zagrzebiu jest Rajić, uczeń Reinhardta, człowiek ze smakiem artystycznym, lecz trzymający się niemieckiego stylu reżyserowania. Najbardziej oryginalną i najlepszą jego robotą reżyserską jest „Smrt Majki Jugović'a“ (Śmierć matki Jugowicza), poemat dramatyczny przywódcy naszych autorów dramatycznych Ive kneza Vojnović'a (Jana księcia Wojnowicza). Dramatten przedtem dany był w Pradze w Narodnem Divadlu. W ostatnim czasie z powodzeniem reżyserują Rosjanie w Belgradzie (Rakitin) i Sarajewie. Praca ich jest bliższa we wszystkich wypadkach naszemu duchowi. Lecz oryginalnych kreacji reżyserskich, któreby miały znaczenie dla rozwoju dramatu naszego,—nie posiadamy. Charakterystyczne jest dla naszych warunków, że nikt nie myśli o wystawieniu naszego arcydzieła „Gorski Vijenac“.

*) Bawiący chwilowo w Warszawie dla badania teatrów polskich wybitny poeta i dramaturg chorwacki, Dr. Dimowić, udzielił nam łaskawie artykułu o najważniejszych problematach dramatu jugosłowiańskiego. Przep. Red.

Jako pierwszy krok, który doprowadzi do stworzenia naszego stylu, jest zaproszenie teatru belgradzkiego, skierowane do malarzy jugosłowiańskich, by projektowali historyczne kostjumy do sztuk zmarłego pisarza Bojića.

Obecnie następuje najważniejsze pytanie: czego pragnie nasz dramat i jakie są jego cele?

Należy zaprezentować naszych współczesnych autorów. Nie jesteśmy nacjonalistami. Nie tylko to: nie możemy być nacjonalistami, ponieważ kochamy nasz kraj. Nacjonalizm wzrósł z krwi rewolucji francuskiej; nacjonalizm zagłuszyłby poczucie naszej jedności w krwi. Z tego powodu następnie każde z plemion, Serbowie, Chorwaci i Słoweńcy, tak się narodowo rozwinęło, że już nie może wyrzec się swej indywidualności. Pragniemy przystąpić do rozstrzygnięcia kwestji, która nas zajmuje i od której doskonałego rozstrzygnięcia zależy nasza przyszłość i rozwój. Tego rozwiązania nie pragniemy dokonać osobno, lecz łącznie, jako zbiorowisko silne i zjednoczone. Gdy nas będzie więcej, będziemy silniejsi, lecz dla nas, jako licznych, będzie niezbędną być bardziej sprawiedliwymi i bardziej uważającymi wobec siebie. Nie walka i siła, lecz praca i szczerłość. Dlatego też szukamy w rozwiązaniach spraw socjalnych, jak wychować się jako wyższa indywidualność, *a sua sponte dāc siebie na pożytek wszystkich* — jest dowodem *największego* rozwoju indywidualności.

Podkreślam słowa powyższe, mówiąc o naszym dramacie. Dlaczego? Dramat jest sumą poezji; i w chaosie, który obecnie panuje u nas, łącznie poezja jest kotwicą, która trzyma okręt naszego zjednoczenia zdala od burzy. W czasie walk świeckich, gdy nasi wrogowie usiłowali zmusić nas do walki bratobójczej, Kroaci, wracając do domu, nauczyli się śpiewać te same pieśni, które śpiewają Bośniacy, Serbowie, Macedończycy: słyszeli, — nasz naród śpiewa nawet, gdy płacze, np. w paroksyzmie swego bólu matka nad trumną swego syna wyrzeka w wierszach 10-cio zgłoskowych, — czyli, że te pieśni są ich własne i przyswoili je całkowicie. Pod najrozmaitszymi mundurami i pod różnymi warstwami cudzej kultury dusza narodowa została czysta i wspólna. Chcemy dotrzeć do jej głębi. Wiedząc, że jesteśmy wszędzie ci sami i potężni, chcemy czerpać moc dla naszego nowego dramatu — nasze zjednoczenie leży w sztuce. Powiedziawszy to, stwierdziliśmy nasz program: czy można w sztuce cośkolwiek zapożyczyć?

Chcemy być sami sobą. Fantaści, mistycy, lecz bojownicy. Jakiegokolwiek byłoby pytanie, pragniemy dać na nie swoją własną odpowiedź. Czy odpowiedź ta będzie słuszna i prawdziwa — nie wiemy, lecz będzie szczerą. Studjujemy kulturę wokół nas; przyjmujemy od niej impulsy, lecz wiemy, że tylko prawdziwe powołanie wiąże duszę narodową z duszą poety; że tylko przez natchnienie mogą powstać wyżyny prawdziwej twórczości, gdzie nie panuje więcej rozum, lecz boskie natchnienie.

Jak można zauważyć, nie jesteśmy jeszcze wyzwoleni z ziemskiego podłoża. Idziemy tak daleko — chociaż nie jesteśmy nacjonalistami — że wszelka prawdziwa sztuka, mimo, że jest powszechna, jest w istocie swej narodowa. Oczywiście, narodowość ma tu inne znaczenie: oryginalności.

Wreszcie trzeba kilka słów zaznaczyć, co rozumniemy pod pojęciem dramatu. Nie akcję i nie wypadki, lecz odkrycie: w twórczości poety widzenie pewnej idei do ostateczności. Gdy mówimy, że chcemy mieć dramat własny, znaczy to, że najbliższe są nam te tematy, które dane są nam wraz z urodzeniem, które biorą swój początek tam, skąd wyszliśmy; które są wykarmione mlekiem matczynym i tem, co człowiekowi najdroższe t. j. wspomnieniami dzieciństwa, i które z tego powodu znowu zaprowadzą nas do tych tajni, gdzie panują Instynkt i Rasa.

Budując na tych podstawach wierzymy, że idziemy ku swemu celowi, tworząc naszego nowego człowieka.

(Z serbskiego tłum. Eugenjusz Świerczewski.)

Z POETÓW ARMEŃSKICH.

LEON ALISZAN.*)

I. Słowik z Arwarairu.

Czemu schodzisz, miesiącu cichy i łagodny,
Którego promień wszędzie dosięga widomy,
Na szczyty gór, w doliny i na przestwór wodny,
Na pastwiska i księżąt naszych wielkie domy?

I gdy ja, rozmarzony pośród głuchoj nocy
Błądę przez Arwarairu kwitnące wądoły,
Gdzie nasi pradziadowie pełni ducha mocy
Padli jak bohaterzy, wstali jak anioły.

Może ty schodzisz do nas, by z twej chmury lśniącej
Rozpiąć nad popiołami wojowników świętych
Całun, śniegiem i złotem blasków twych drgający,
Czy też dla skroni twoich w biel mgły owiniętych,

Z krwi bohaterów snujesz welonu szkarłatny?
Czy dotąd się w cichości dziwisz zawierusze,
Gdy zginął straszny Wartan, co w czarne zaświaty
Stracił wroga i razem oddał Bogu duszę?

Ach, i ty różanego krwią żaloszny kwiatu,
Co łkając się po trzcinach tułasz z mrozu chwiejny...
Co przybywasz od Magwy lub z gór Araratu,
Mnie podobny: żaloszny, tkliwy, beznadziejny!

Słabemi płyniesz skrzydły z gór na dolin cienie —
Z lasu w las, z drzew na drzewa, kwiląc nam,
[pociechą

Aż na polu ostatnie wydajesz westchnienie,
By pieśnią swą Ormianom w serce rzucić echo.

*) Autorem poezji, których przekład niżej podajemy, jest Leon Aliszán, ur. w Erzerum, a zmarły niedawno w Wenecji, na wyspie San Lazaro, w tamtejszym klasztorze ormiańskim mechtarystów. Ojciec Aliszán zmarł w wieku zgorą lat stu — i był poniekąd współczesnikiem Mickiewicza, z którym ma pewne cechy pokrewne. Jest to poeta, który wszystką miłość oddał ojczyźnie. Pierwszy z tych utworów opiewa znakomitego poetę armeńskiego z w. XI, Elizeusza, autora epopei narodowej p. t. *Wartan*. Poemat ten opowiada dzieje wojny przeciw Persom, którzy w V w. po Chr. najechali Armenję, chcąc narzucić Ormianom wiarę Zoroastra, gdy Armenja już była chrześcijańska. Król armeński Wartan zwyciężył Persów pod Arwarairum, ale sam w bitwie zginął. — Poemat *Wartan* jest w Arm. bardzo ceniony, a twórca jego Elizeusz zwany jest słowikiem z Arwarairu. Dla wyjaśnienia dodać muszę, że *Armenja* jest to nazwa grecka; Ormianie sami siebie kłowią *Haik* lub *Haik*, od mitycznego praojca swego Haika, który niegdyś miał rozszerzyć panowanie Ormian aż po Egipt, gdzie zwano ich *Hik-szu*. Imię Haik w obu utworach się powtarza. — Przekład niniejszy dokonany został podług doskonałego tłumaczenia prozą z oryginału.

Druhu serc uciśnionych, ty, nocy zwiastunie,
Duszo róż, o słowiku, śpiewaj mi bez końca,
Śpiewaj o mych pradziadów bojowym piorunie,
A z tobą śpiewa dusza moja gorejąca.

Do klasztoru doleciał głos twój w moje serce,
Co pod krzyżem podobnie uderza bez bólu:
Od krzyża stóp poszedłem na polne kobierce
I tam znalazłem ciebie na Wartana polu.

Ptaku, o tobie nasi mówili ojcowie,
Ze słowik z Arwarajru to nie ptak, lecz owy
Czysty Elizeusza duch o słodkiej mowie,
Co dostrzega Wartana w róży purpurowej.

Zimą idzie w pustynie, płacząc nad swym losem,
Wiosną przebywa w Ardazd wśród krzaków różanych,
I tam Elizeusza śpiewa słodkim głosem,
Aż Wartan mu odpowie ze sfer widziadlanych.

Oby głos mój podobny głosowi słowika,
Doszedł was, o dziedzice umarłej potęgi,
Wy, których wielkie dziady, synowie Haika —
Napełnili genjuszem pola, niebo, księgi!

Oby pieśń, źródło wieczne Armenji żywota —
Wlęła wam krew czerwoną w żyły swem dotknię-

[ciem:

Niech się z chwałą Armenji wiąże wasza cnota —
I pójdźcie do Ardazdu za moim książęciem.

Tłum. Antoni Lange.

KRONIKA LITERACKA

Boy. Nowe studia z literatury francuskiej
Kraków 1922. Krakowska Spółka Wydawnicza,
w 292. — „Kółko Polaków dobrej woli“ nadeszło
niedawno Boyowi rozkoszny anonim z takim we-
zwaniem: „Czyś pan już tak przepity, tak blizki
delirium, tak w duszy i w sercu zmurszały, że nie
umiesz zdobyć się na pracę dla prawdziwej sztuki
i nie jesteś zdolny wykrzesać z siebie niczego
samodzielnie, ale zrobiłeś się rzemieślnikiem, tłó-
macząc miejscami bezmyślnie i źle to, co niechajby
wiecznie spoczywało pod głazem zapomnienia, a co
jest klątwą zepsucia, gangreną ducha dla społec-
zeństwa?“ i t. d. Tak sympatycznie — obywatelska
cnota polska zwalcza pierwszorzędną pracę polską
połączoną z pierwszorzędnym talentem pisarskim.
Nie ulega wątpliwości, że Boy jest u nas fenome-
nem. Nie budzi w nas podziwu sto tomów jego
przekładów, bo Callierowa mogłaby się także wy-
kazać stu tomami „tłómaczeń z oryginału“ ze
wszystkich języków europejskich. Ale godna jest
uwielbienia różnorodność jego uzdolnień, obszar
przeróżnych talentów francuskich, który zdołał
objąć od XV w. aż do chwili obecnej. Boy zdaje
sobie sam sprawę z nadmiernego pośpiechu swych
prac. „Mimo — pisze — przydanego mi i już
utartego epitetu, nie mam w sobie nic z *bene-
dyktyna* i pracuję raczej niecierpliwą furją, niż
cierpliwą skrzętnością“. Pośpiech swój tłómaczy
Boy tem, że odrabia „zaniedbania conajmniej paru
pokoleń“. Niektóre z utworów, które przełożył,
czekały po kilkaset lat na tłómacza. „Literatura
nasza obchodziła się bez Villona, Rabelais'ego, pra-
wie że bez Moliera, filozofia bez Montaigne'a,
teologia bez Pascala, prawo bez Monteskiusza.
Młodzi „romaniści“ czytawali Kartezjusza — po nie-
miecku“. Oczywiście, trudno żądać, aby wszyst-

kie przekłady Boy'a miały jednakową wartość t. j.,
aby wszystkie były wzorowymi odpowiednikami
oryginałów. W przekładach wielu arcydzieł decy-
duje mniejsze lub większe pokrewieństwo tłómacza
z twórcą. Boy wnosi w swe przekłady dwa za-
sadnicze elementy: świetną znajomość języka i lite-
ratury francuskiej; niezwykle udoskonalone i gięt-
kie, do wszelkiej myśli przystosowane narzędzie
języka polskiego. To też odezwa „Kółka Polaków
dobrej woli“ ma w sobie moment wysoce znamien-
ny i pocieszający; świadczy ona, że przekłady Boy'a
są namiętnie *czytane*, że wydawane są pod kilka
razy. Nie marzył o tem żaden z poprzednich tłó-
maczów literatury francuskiej, zwłaszcza dawniej.
Żywość i pełnia transpozycji w przekładach Boy'a
czyni je w Polsce zjawiskiem nowem, walczącym
o czytelnika na równi z oryginalnymi utworami
polskimi.

Dzięki tak szczęśliwemu wynikowi swej pracy
może Boy odważyć się na eksperyment, którego
przed nim nie próbowano: oto co jakiś czas
zbiera w jedną całość swe barwne, felietonowo
traktowane wstępy do przekładów pisarzy fran-
cuskich i wydaje te uwagi w oddzielnych książ-
kach. Możliwość wydawania takich cyklów „studjów
z literatury francuskiej“ jest najlepszym dowodem
popularności i celowości jego pracy. W „Nowych
studjach“ mamy rzut oka na twórczość: Pascala,
Moliera (Mizantrop, Skąpiec, Mieszczanin Szlachci-
cem), Chateaubrianda, Stendhala (Czerwone i Czar-
ne), Balzaca (Cykl Vautrina), Musseta (Spowiedź
dziecięcia wieku i Komedje), Murgera (Cyganerja).
We wszystkich tych studjach Boy jest dokładnym
informatorem, subtelnym analitykiem, szczerym
czcicielem piękna i pełnym poczucia stylu kryty-
kiem.

Edward Słowski. Maj ostatni. Wiersze
o wiosnie i miłości. Nakładem polskiej Agencji
Wydawniczej. 1922. Warszawa. — Liryki Słow-
skiego cieszą się oddawna wielką popularnością.
Mają zawsze szczerotę i prostotę, pełne są smętku
i melancholji. W momentach burzy nabierają po-
wagi i grozy, a gdy burza minie — rozplywają się
dalej w cichej, słodkiej kantylenie. „Maj ostatni“,
po za piękną balladą „O tem, jak się spowiadał
Hołoda“, balladą o niezwyklej delikatności tonu,
po za kilku doskonałymi przekładami z Briusowa,
zawierają garść pieśni miłosnych, zadum i smutków
śród łąk, drzew w pąkach, ciszy, świtów, zmroków
i nocy. Przeważa w nich melancholia. W „ostatnim
maju“ Słowskiego snują się pajęczyny... babiego
lata, a całość jest zbieraniem „w szkaplerze tych
relikwi po maju“.

SZTUKA PLASTYCZNA WSCHODU.

II. BUDOWNICTWO.

Silny niezwykle był wpływ wschodu na Euro-
pę w dziedzinie architektury. Już w czasach przed-
historycznych kopuła, wsparta na okrągłej podwa-
linie, przedostała się do okolic śródziemnomor-
skich. Później w epoce micenńskiej została wypar-
ta przez dom, kryty drzewem. Część jednak tego
ruchu przechowała się we Włoszech dzięki Etru-
skom. Drugi szczybel w kierunku budownictwa
kopułowego ujawnił się przy końcu okresu hel-

leńskiego i na początku ery chrześcijańskiej w sposób, który dziś jeszcze istnieje.

O rozwoju budownictwa dziś jeszcze panuje przekonanie, że sklepienie i kopuła zostały po raz pierwszy zastosowane przez Rzymian do olbrzymich budowli, następnie zaś pod tym właśnie wpływem rzymskich pomników w chrześcijańskiej architekturze krajów zachodnich średniowiecza i Odrodzenia przedewszystkiem w bazylikach i w budowlach centralnych. Tutaj więc, zarówno jak i w zdobnictwie, uważa się sztukę późniejszych czasów rzymskich za twórczynię sztuki nowej, sięgającej doby dzisiejszej. W rzeczywistości odgrywa tu rolę sztuka wschodu, pierwiastki irańskie wraz z semickimi. Sklepienie kolebkowate stało się zasadniczą jednostką budownictwa przedewszystkiem w oazach Nilu, a zwłaszcza Eufratu i Tygru, samym zaś ludom semickim nie udało się go doprowadzić do monumentalnych budowli o znaczniejszej pojemności. Natomiast wypracowanie kopuły jest dziełem Irańczyków i wielka szkoda, że dotychczas nie znano i nie rozumiano tego aryjskiego czynu. Niemcy naprzykład przejmowali przez wieki całe ten rodzaj budownictwa z rąk Włochów, którzy zatrzymując starożytne kolumny, nie dopuszczali architektury kopulastej do jej właściwego rozwoju.

W głównych zarysach, jakie dziś rozpoznać można, rozwój budownictwa przedstawia się w ten sposób, że w krajach leżących nad morzem Śródziemnym najprzód przedostał się do architektury dach drewniany z frontowem, będący w użyciu na północy. Grek jedynie mógł tego rodzaju dom mieszkalny przetworzyć, stosując budownictwo kamienne Egipcjan, na mieszkanie swego Boga. Po niewymownie głębokim upadku budownictwa w czasie, gdy chrześcijaństwo w Rzymie stało się religją państwową, przeszedł ten rodzaj budowli z drewnianym dachem z frontowem również i do kościołów chrześcijańskich w okolicach morza Śródziemnego — pomimo, że nie chodziło tu jnż jedynie o dom Boży, lecz o miejsce zebrań gminy. Do tego celu służyły w czasach rzymskich obok bazyliki również i inne potężne gmachy sklepione. Łażnia oraz olbrzymia bazylika Konstantyna na Rzymskim forum z krzyżowem i kolebkowatem sklepieniem wymownie o tem świadczą. Jednakże przerwano ten wielki ruch, pochodzący z Iranu poprzez hellenistyczne stolice i wprowadzono bazylikę, krytą drzewem, czyli użyto na kościół czysto użytkową postać starożytnej sali.

Inaczej rzecz się ma na wschodzie. Wprawdzie spotykamy tam jeszcze, o ile tylko wybrzeże morza Śródziemnego umożliwia wzajemne stosunki, bazylikę z drewnianym dachem naprzemian z budownictwem sklepieniem. Im bardziej się jednak oddalamy od morza Śródziemnego i sięgamy do wnętrza Azji Mniejszej oraz przez kraje, leżące głębiej poza wybrzeżami do Mezopotamji, Armenji i płaskowzgórza irańskiego, tembardziej spostrzegamy, jak sklepienie przeważa również i w czasach chrześcijańskich. Badania w dziedzinie sztuki przeoczyły zarówno poważny upadek budownictwa w chrześcijańskim Rzymie, jak i nieprzerwany dalszy rozwój sklepienia na wschodzie. Odkrycie sztuki chrześcijańskiej przy armeńskich źródłach Eufratu i Tygru oraz w graniczących z niemi krajach Azji Mniejszej, Mezopotamji i Iranu musi dziś znów otworzyć oczy na zupełnie odmienny stan

rzeczy i doprowadzić nas do przekonania, że wpływ, jakie dotąd zwykli byliśmy uważać za przeważające w czasie pomiędzy ostatniem sklepieniem budownictwem rzymskiem i pierwotnem romańskiem oraz kopułą renesansową w krajach zachodnich mają znaczenie drugorzędne. Dach drewniany stanowi charakterystyczną cechę tego wymykającego się prawom rozwoju intermezzo.

Dopiero z przejściem sklepienia kraje zachodnie ponownie podejmują w dziedzinie sztuki budowlanej ów postęp, przerwany na gruncie rzymskiego zachodu, na wschodzie zato w tym właśnie czasie dochodzący do wspaniałego rozkwitu. Dlatego nie należy stawiać w pierwszej linii rozwoju budownictwa kościelnego o sklepieniu kolebkowatem lub krzyżowem — chociaż i ono pochodzi ze wschodu, jak starałem się udowodnić w pracach „Azja Mniejsza, nowy kraj dla historii sztuki“ (1903) i Armida (1910), — natomiast podkreślić musimy kopułę, która jako typ budownictwa w ostatnich dopiero czasach stała mi się jasną.

I. Dom sakijski.

Znane są od dawien dawna dwie budowle pałacowe południowego Iranu, Firuzabad i Sarwistan, które zasługują na baczną uwagę dzięki swym cechom szczególnym w porównaniu ze starożytnem budownictwem wschodniem, jak również z grecko-rzymskiem. Występujące w nich wspaniałe połączenie kopuły z budownictwem kolebkowatem nie ma sobie równego. Porównywując je w pałacami Niniwy i Persepolis, widzi się, że ujawnia się w nich zupełnie nowe odczucie budownictwa, którego nie można przypisać ani Mezopotamji, ani hellenizmowi.

Blizsze badania narpowadzają, że jakkolwiek tutaj wewnątrz składa się rzymskim sposobem z wyższych pomieszczeń głównych i niższych bocznych, nie krytych sklepieniem krzyżowem, naprzemian z kopułami okrągłemi, użyto do głównych pomieszczeń dziwnie zbudowanej kopuły kwadratowej. Istnieje ona obok sklepienia kolebkowatego pomieszczeń bocznych, z których jedne są podłużnymi salami, inne zaś stanowią otwarte wejścia. Znajdujemy monograficzne opisy tych pałaców w czwartym tomie Dieulafoy „L'art antique de la Perse“, według którego sa one opisane we wszystkich podręcznikach. Chciałbym tu wyjść z założenia, iż właśnie owe kwadratowe kopuły wspierają się na niezwykle silnych murach, których grube ściany, zbudowane z kamieni ciosowych spojonych wapieniem, wydają się wprost nieprawdopodobne.

Takie grube ściany, zbudowane wszakże z cegieł niepalonych, tworzą aż po dzień dzisiejszy kopułowate mieszkania we wsiach wschodniego Iranu. Typ ten przedostał się miejscami aż do Mezopotamji i znany już jest ze starych płaskorzeźb Niniwy. Poza granicą tego domu kopułowatego zjawia się na zachodzie Azji Mniejszej dom, kryty drzewem, z którego, jak mówiliśmy, rozwinął się między innymi typ świątyni greckiej. W podobny sposób dom kopułowaty wschodniego Iranu dał pobudkę do rozwoju olbrzymiego budownictwa kopulastego. Podczas gdy dom północny przechodzi do sztuki greckiej, to sakijski przechodzi do sztuki chrześcijańskiej. W rozwoju swym posuwa się przez południe, lub przez Armenję do Konstantynopola, kopuła staje się panującą w kościele orto-

doksyjnym i wraz z Leonardem i Bramantem wkacza tryumfalnie na zachód.

Rozpatrując wieś z wschodniego Iranu wraz z jej domami kopułowatemi, gęsto uszeregowanemi jedne obok drugich, spostrzeżemy, że każda kopuła wsparta jest na kwadratowej podstawie. Przejście z kwadratu do półkuli stanowią trompy.

Jako przykład sakijskiej pra-postaci służyc mogą budowle, wykonane w murze spojonym. Nie można oczekiwać, aby przetrwały do naszych czasów budowle z cegły surowej, pochodzące z dawnych, bodaj partyjskich czasów. Być może, iż w Seistanie i w Afganistanie, zarówno jak w Fer-ganie zachowały się jakie stare budowle, oczekujące odkrycia i opracowania.

Posiadam w zbiorach swoich wizerunek budowli z Bus—i—Hor, ze zdjęć, jakich dr. Diez dokonał na wyprawie do Chorasanu, zorganizowanej przez moją pracownię. Budowla ta sięga epoki Sasanidów. Wsparta jest na kwadratowej podstawie z kamienia polnego, do której wnętrza prowadzi sklepienie, ceglane wejście. Kopuła jest również zbudowana z cegieł, widać jednak jeszcze ponad wejściem ślady dawnego sposobu krycia muru płytami. Przedewszystkiem należy jednak zwrócić uwagę na „trompy“, tj. lejkowate nysze, występujące z kopulastego czepka w rogach kwadratu; są one na wewnątrz sklepienie ponad kątami kwadratowej podstawy, których nie przykrywa kopuła, w tem samym miejscu, w którym w kopułach zachodnich widzimy zazwyczaj t. zw. pendentifs (wycinki sferyczne). Trompy, o ile to dzisiaj da się ustalić, były pierwotnym sakijskim rodzajem sklepienia kopułowego.

Prof. Dr. Józef Strzygowski.

LITERATURA I SZTUKA U OBCYCH.

J. Valmy Baysse. „Terreblonde“. Autor „Powrotu Ulisesa“, pełnego gorzkiej ironji, z talentem skreślonego obrazu wszystkich bolesnych niespodzianek, jakie czekają ofiarnych *poilus* po wojnie, pragnie w nowej książce swojej wykazać, że instynktowna natura ludzka jest niestała i z trudnością wytrwać może w czci dla Piękna i Ideału; że próżność i głupota, namiętność i współzawodnictwo celują w ustawicznym niweczeniu marzeń.

Lormeau, apostoł socjalistyczny, łączący w sercu swoim wspaniałomyślność z poezją, powziął plan idealnego społeczeństwa, którego utworzenia szczerze pragnie, i plan ten opisuje w książce. Lud podziwia go i uwielbia; widzi w nim zwiastuna i prawodawcę przyszłego królestwa, w którym ludzkość zazna nareszcie szczęścia. Ale apostoł szukał oparcia w zmiennej opinji publicznej i stąd poniesie klęskę. Tymczasem tyran, Justyn XLV, zdołał urzeczywistnić potajemnie marzenia poety. Skazuje pozornie na karę wygnania na tajemniczą wyspę ludzi nauki, wiedzy i artystów w swoim królestwie. Nikt nie powraca z Terreblonde, nikt nie może powiedzieć, jaki los spotyka tam wygnańców.

Skądże zatem można było odgadnąć, że Terreblonde jest wyspą szczęścia i że deportowani prowadzą tam życie idealne, łącząc uciechy umy-

słowe z radościami pracy fizycznej. Gdy tyran zostanie zdetronizowany, sam będzie szukał schronienia w tem miejscu pokuty, będącej właściwie rajem. Zapraźnie tam również żyć i Lormeau, gdyby wspomnienie tej, którą kocha, nie wzywało go do środowiska walki, gdzie czeka go porażka i rozczarowanie.

Ta opowieść ironiczna drga życiem. Na każdej stronicy czytelnik poznaje wszystkie przywary współczesnego społeczeństwa, wszystkie braki nowoczesnych urządzeń socjalnych. Książka jest satyrą sprawiedliwą, a jednocześnie zabawną. Rewolucja, a następnie opis szczęśliwej wyspy Terreblonde, zarówno, jak i ostateczny zawód, jakiego doznaje Lormeau, przedstawione są z jednakową siłą i ciętością pióra.

• Henryk Davignon. „Aimée Collinet“. Śród licznych społecznych przewrotów i zaburzeń, jakie spowodowała wojna, nie najmniej interesującym był smutny napływ do Anglii zbiegów z Belgji, którzy szukali tam schronienia przed niemieckim najazdem. Po krótkim ich pobycie ujawniła się dobitnie różnica i niezgodność charakterów tych dwóch narodów. Anglicy postępowali z nimi do-brotliwie, nie szczędzili im opieki, ale—ich nie rozumieli, a w niejednym wypadku zrodziło się nawet, skutkiem tego niezrozumienia, wrogie uczucie. Jakże zaś pojęcie wytworzyli sobie o Anglikach ci, którzy zmuszeni byli korzystać z ich gościnności? Odpowiedź znajdziemy poniekąd w pierwszej części powieści, o której mowa. I okazuje się, że niezrozumienie było takie samo ze strony Belgijczyków, którzy, chociaż żyli w środowisku angielskim i w niem pracowali, nie przeniknęli nigdy głębiej tego obcego otoczenia.

Rodzina belgijska ze Stavelot osiedlona została w Pinner na czas wojny. Panna Aimée Collinet otrzymuje posadę maszynistki, przebywa w pańskiej rezydencji wiejskiej, poznaje i poślubia Guy'a Stanhope'a, kanadyjczyka, dowódcę szwadronu, który ginie w trzy tygodnie później, a te wszystkie przejścia są tylko preludjum do nowego życia, jakie rozpocznie, gdy powróci jako sanitariuszka w pociągu zwycięskiej armji. Serce bohaterki powieści jest w rozterce — waha się między ujmującym pułkownikiem angielskim a rodakiem z Malmédy, który w ciągu wojny narażał ustawicznie życie dla dostarczenia armji brytańskiej informacji i nienawidzi jej teraz, gdy przybyła. Ostatecznie Aimée stała się duchową siostrą Jana Oberlégo, Alzaczyka, i Colette'y Baudoche, dziewczęcia z Lotaryngji i poświęca siebie dla dobra rasy.

Autor z wielką subtelnością skreślił różnice, dzielące dwa narody, które się tak blisko w życiu powszednim, śród wszechświatowej zawieruchy, zetknęły.

• Rafael Calloja. „Rusia: Espejo saludable para uso de povres y ricos“. — „Rosja, zwierciadło zdrowia dla bogaczy i ubogich“, — Książka nosząca ten osobliwy tytuł interesująca jest nie ze względu na opis Rosji przed klęską głodu, ale jest znamieną jako wyraz poglądów autora hiszpańskiego, a może wogóle hiszpańskiego narodu. Propaganda nie wytworzy rewolucji — oświadczył w rozmowie z pewnym dyplomatą angielskim Lenin. Jeżeli niema warunków do rewolucji, najsilniejsza propaganda nie zdoła ich przyspieszyć. Wszelako w Hiszpanji, podobnie, jak w niejednym kraju,

wojna takie warunki wytworzyła. Trockij podobno orzekł, iż, po Rosji, Hiszpanja, zdaniem jego, jest najlepiej przygotowana do rządów bolszewickich.

Otóż p. Calleja w książce swojej zapewnia, że każdego Hiszpana, czytającego o tem, co się dzieje w Rosji, musi uderzyć podobieństwo między psychologią tych dwóch narodów. W polityce Rosji przedbolszewickiej są fakty, które jakgdyby należały do dziejów polityki nowoczesnej Hiszpanji.

Ojczyzna Cervantesa i psychologia jego rodaków jest tak mało u nas—a może i nietylko u nas—znana, że musimy p. Calleju uwierzyć na słowo. Jednakże przysłowie hiszpańskie mówi: „Jeżeli usłyszysz człowieka, mówiącego źle o Hiszpanji, możesz być pewien, że to Hiszpan“.

Książki i czasopisma nadesłane do redakcji.

* Dwa ostatnie zeszyty doskonale redagowanego miesięcznika paryskiego „*La Nouvelle revue française*“ zawierają, między innymi, następujące utwory i prace: „James Joyce“ odczyt V. Larbaud'a (podaliśmy go streszczeniu w poprzednim numerze); „Ogród“, poemat Karola Vildrac'a; „Niewierny towarzysz“ (powieść) Jana Schlumbergera; Refleksje o literaturze — przez A. T.; „Fragmenty Narcyza“ O. Valery; „Dokumenty o wyjeździe i śmierci Tołstoja“ (listy i niewydane fragmenty dziennika Tołstoja); „Pierwszy dzień w Rufisque“ przez J. R. Blocha; Kronika dramatyczna — przez M. Boissarda; Notatki literackie — przez członków redakcji; Poezja — (sprawozdania wydawnictw bieżących); Romansy — (sprawozdania); Salon niezależnych — przez A. Lhote'a; Listy cudzoziemskie — (*Anglja* — przez T. S. Bliota, V. Larbauda i Schlumbergera; *Niemcy* — przez F. Bertaux i B. Groethuy-sena).

Wydawnictwa Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Wiktor Gomulicki. SYRENA. Opowiadania, str. 23 w 12-ce.

Wiktor Gomulicki. STRACH. Opowiadanie żołnierskie, str. 28 w 12-ce.

Michał Bałucki. ZAPÓŻNO. Nowela. str. 56 w 12-ce.

Wiktor Gomulicki. ZAKAZANE. Opowiadania, str. 32 w 12-ce.

Jan Kazimierz Jasiński. DAWNI LUDZIE. Opowiadania. Z ilustracjami T. Jaroszyńskiego, str. 65 w 12-ce.

E. Bogdanowicz. BŁĘKITNA PANTERA. Opowiadania z puszczy amerykańskiej. Z 5-ciu ilustracjami St. Sawiczewskiego, str. 75 w 12-ce.

Maciej Wierzbiński. KSIEŻYNA. Opowiadania z r. 1848, str. 30 w 12-ce.

Maciej Wierzbiński. PIĘŚĆ MARCINA WILCZKA. Nowela, str. 38 w 12-ce.

Maksym d'Azeglio. NICOLO DE'LAPI. Powieść historyczna w przekładzie Józefa Korzeniowskiego. 2 tomy, str. 300+306 w 8-ce („Dilecta“ wybór najcelniejszych utworów liter. powszechnej).

PERŁY. Nowele autorów szwedzkich. Z upoważnienia autorów przełożył Konstanty Bukowski, str. 240 w 8-ce.

Dr. Tadeusz Grabowski, prof. Uniw. poznańskiego. ADAM MICKIEWICZ. Jego żywot i dzieła na tle współczesnej epoki 1798 — 1855, str. 143 w 12-ce.

„Tygodnik dostaw“ we Lwowie

Nr. specjalny p. t.
„PRZEMYSŁ ŻELAZNY
w POLSCE“

ukaze się
w maju

Nr. specjalny
„PRZEMYSŁ DRZEWNY
w POLSCE“

ukaze się
w czerwcu

Nr. specjalny dla
UZDROWISK i LETNISK
w POLSCE

ukaze się
w lipcu

Do numerów tych przyjmujemy od dziś cało-, pół- i ćwierćstronicowe ogłoszenia po zwyczajnych cenach taryfy bez żadnej dopłaty

Towarzystwo Wydawnicze Tygodnika dostaw we Lwowie, ul. Potockiego № 26. — Telefon № 259.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego“ wynosi kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie. Cena pojedynczego numeru 80 mk.

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

„ „ Poznańskie i Pomorze „Ruch“, Poznań, ul. Pawła 1.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk, succ. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.